I 363.055

BIBLJOTEKA HUMORU

2

MIKOŁAJ GOGOL

OPOWIEŚĆ O KŁÓTNI IWANA IWANOWICZA Z IWANEM NIKIFOROWICZEM

OPOWIEŚĆ O KŁÓTNI IWANA IWANOWICZA Z IWANEM NIKIFOROWICZEM

BIBLJOTEKA HUMORU T=WA WYDAWNICZEGO

ROK PIERWSZY KSIĄŻKA II

REDAKTOR JULJAN TUWIM
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
ADMINISTR.: WARSZAWA, MAZOWIECKA 12

Nikolaj Vasil'evič

MIKOŁAJ GOGOL

OPOWIEŚĆ O KŁÓTNI IWANA IWANOWICZA Z IWANEM NIKIFOROWICZEM

WARSZAWA / MCMXXVII / KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
NAKŁAD T-WA WYDAWN. W WARSZAWIE

BIBLIOTEKA NARODOWA
I 363.055
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001016573251

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE, WOLSKA 19

1966 k 362/1

Rozdział I.

IWAN IWANOWICZ i IWAN NIKIFOROWICZ.

Świetną bekieszę ma Iwan Iwanowicz! wspaniałą! A co za baranek! A niech że cię, co za baranek! stalowosiny ze szronem! Gotów jestem założyć się, Bóg wie o co, czy jeszcze u kogo znajdziecie taki! Spójrzcie, na Boga, na ten baranek — zwłaszcza gdy Iwan Iwanowicz zacznie z kimkolwiek rozmawiać — spójrzcie, proszę, z boku: co za delicje! Opisać nie sposób: aksamit! srebro! ogień! Boże święty! Mikołaju Cudotwórco, wybrańcze boży! dlaczego ja nie mam takiej bekieszy? Sprawił ją sobie jeszcze wówczas, kiedy Agafja Fiedosiejewna nie jeździła do Kijowa. Nie znacie Agafji Fiedosiejewny? To ta właśnie, która odgryzła ucho ławnikowi.

Zacny to człowiek ten Iwan Iwanowicz! Jaki ma dom w Mirhorodzie! Wokół domu, ze wszystkich stron, biegnie okap, wsparty na dębowych słupach, pod okapem wszędzie masz ławeczki. Kiedy robi się zbyt gorąco Iwan Iwanowicz zrzuca z siebie biekieszę zarówno jak spodnie, zostaje w samej koszuli i odpoczywa sobie pod okapem i patrzy, co się dzieje na podwórzu i na ulicy. A jakie ma jabłonki i grusze pod samemi oknami! Otwórz okno — a gałązki same wdzierają się do pokoju. Wszystko to przed domem; a zajrzelibyście co tam ma w ogrodzie! Czego tam niema? Śliwki, wiśnie, cze-

reśnie, warzywo wszelkie, słoneczniki, ogórki, melony, strączki, nawet stodoła i kuźnia.

Zacny to człowiek ten Iwan Iwanowicz! Bardzo lubi melony: to jego najukochańsza potrawa. Jak tylko zje obiad i wyjdzie w samej koszuli pod okap, natychmiast każe Hance przynieść dwa melony i już sam je rozkroi, zbierze pestki do specjalnego papierka i zacznie jeść. Potem każe Hance przynieść kałamarz i sam, własnoręcznie, zrobi napis na papierku z pestkami: „Niniejszy melon został zjedzony dnia takiego a takiego.“ Jeżeli przy tem był obecny jaki gość, to: „brał udział taki a taki.“

Nieboszczyk sędzia mirhorodzki zawsze się zachwycał, patrząc na dom Iwana Iwanowicza. Tak, domek był wcale niezgorszy. Podoba mi się, że ze wszech stron przybudowano doń sienie i przedsionki, tak że jeżeli spojrzeć nań z oddali, to widzi się same tylko dachy nasadzone jeden na drugi, co bardzo przypomina talerz, naładowany naleśnikami, a jeszcze lepiej — jemiołę narastającą na drzewie. Zresztą, dachy całe pokryte są oczeretem; wierzba, dąb i dwie jabłonie oparły się na nie, niczem łokciami, rozłożystemi swemi konarami. Z pomiędzy drzew migają i wybiegają nawet na ulicę niewielkie okienka z rzeźbionemi bielonemi okiennicami.

Zacny to człowiek, ten Iwan Iwanowicz! Zna go nawet komisarz z Połtawy! Kiedy Dorosz Tarasowicz Pichiwoczka jedzie z Horodla, to zawsze doń zajedzie. A protopop ojciec Piotr, co to w Koliberdzie mieszka, gdy się u niego z pięciu gości zbierze, mawia zawsze iż nie zna nikogo, ktoby tak spełniał obowiązki chrześcijańskie i tak żyć potrafił, jak Iwan Iwanowicz.

Boże, jak to czas leci! Już przeszło dziesięć lat minęło od czasu, jak owdowiał. Dzieci nie miał. Hanka ma dzieci, biegają często po podwórzu. Iwan Iwanowicz zawsze daje każdemu z nich po obwarzanku, lub po kawałku melonu lub też gruszkę. Hanka nosi klu

cze od jego komór i piwnic; od wielkiego zaś kufra, co to stoi w sypialni, klucz ma Iwan Iwanowicz przy sobie i nie lubi dopuszczać doń nikogo. Hanka — to dziewucha zdrowa, chodzi w zapasce, ma świeże łydy i policzki.

A co za bogobojny człowiek ten Iwan Iwanowicz! Co niedziela nakłada bekieszę i idzie do cerkwi. Gdy wejdzie do wnętrza, kładzie pokłony na wsze strony, lokuje się zazwyczaj na chórach i bardzo dobrze podciąga basem. Po nabożeństwie zaś Iwan Iwanowicz nie może nijak się wstrzymać, by nie odwiedzić wszystkich żebraków. Kto wie? może nie miałby nawet ochoty zająć się tak nudną rzeczą, gdyby go nie przynaglała do tego dobroć wrodzona. „Witaj, niebogo!“ — mawiał zazwyczaj, gdy spostrzegł jakąś najbardziej okaleczoną babinę w postrzępionej, z łat uszytej odzieży. „Skądeś to, biedoto?“

— Ja, panoczku, z futoru przyszłam; od trzech dni nie jadłam, nie piłam; własne dzieci mnie wygnały.

— Biedna ty głowino! i pocoś tu przyszła?

— A tak, panoczku, po jałmużnę, może mi kto da choć na chleb.

— Hm! I cóż, czy naprawdę chce ci się tak chleba? — pytał zazwyczaj Iwan Iwanowicz.

— Jakżeby nie! Głodna jestem jak pies.

— Hm! — odpowiadał zazwyczaj Iwan Iwanowicz— To może ci się i mięsa chce?

— A wszystko, co łaska pańska, wszystko z ucałowaniem rączek przyjmę.

— Hm! A czyż mięso lepsze od chleba?

— Gdzieżby tam głodny wybierał? Co łaska pańska, wszystko dobre będzie. — Przy tych słowach zazwyczaj staruszka wyciągała rękę.

— No, idź sobie z Bogiem! — mówił Iwan Iwanowicz. — Czego tu stoisz? Przecież ja cię nie biję?

I zwróciwszy się z takiemi pytaniami jeszcze do dru-

giego, trzeciego, wraca wreszcie do domu lub też wchodzi na kieliszek wódki bądź do sąsiada swego Iwana Nikiforowicza bądź do sędziego lub też do horodniczego.

Iwan Iwanowicz lubi bardzo, gdy mu kto ofiaruje upominki. Przepada za tem.

Bardzo dobrym również człowiekiem jest Iwan Nikiforowicz. Jego posesja mieści się tuż obok domu Iwana Iwanowicza. Tacy z nich przyjaciele, że świat podobnych nie widział. Antoni Prokopjewicz Pupopur, który dotychczas jeszcze chodzi w bronzowym surducie z błękitnemi rękawami i co niedziela jada obiady u sędziego, mawiał zazwyczaj, że Iwana Iwanowicza z Iwanem Nikiforowiczem sam djabeł szpagatem związał i gdzie jeden, tam zaraz i drugi się wlecze.

Iwan Nikiforowicz nigdy żonaty nie był. Chociaż gadali ludzie, że się ożenił, ale to wierutne kłamstwo. Znam bardzo dobrze Iwana Nikiforowicza i mogę zapewnić, że nawet nigdy nie zamierzał żenić się. Skąd też biorą się wszystkie te plotki? Bo przebąkiwał ktoś, że Iwan Nikiforowicz przyszedł na świat z ogonem z tyłu. Lecz wymysł ten jest tak niemądry, a zarazem tak potworny i nieprzyzwoity, że nawet nie poczuwam się do obowiązku obalać go wobec światłych czytelników, którzy niewątpliwie wiedzą, iż tylko czarownice i to bardzo nieliczne mają z tyłu ogon. A zresztą czarownice należą raczej do płci żeńskiej nie zaś do męskiej.

Nie bacząc na wielką przyjaźń, przyjaciele nie zupełnie byli do siebie podobni. Najlepiej poznać można charaktery, gdy się je porówna. Iwan Iwanowicz posiada niezwykły dar mówienia: przemawia nader przyjemnie. Boże, jak on mówi! Wrażenie to można przyrównać tylko do uczucia, którego doznajesz, gdy ci ktoś iska w głowie albo muska leciuchno palcem wzdłuż gołej pięty. Słuchasz go, słuchasz — i głowa ci zwisa.

Rozkoszne to! takie rozkoszne, jak sen po kąpieli. Iwan Nikiforowicz, wręcz przeciwnie, więcej milczy niż mówi; zato, jeśli już wlepi słówko, to trzymaj się: ogoli cię lepiej niż brzytwą. Iwan Iwanowicz jest szczupły i wzrostu wysokiego. Iwan Nikiforowicz jest nieco niższy, zato rozprzestrzenia się wszerz. Głowa Iwana Iwanowicza podobna jest do rzodkwi nacią wdół; głowa Iwana Nikiforowicza — do rzodkwi nacią do góry. Iwan Iwanowicz tylko po obiedzie lega w samej koszuli pod okapem, pod wieczór zaś nakłada bekieszę i udaje się dokądkolwiek, czy to do sklepu miejskiego, któremu dostarcza mąki, czy też w pole — przepióreczki łowić. Iwan Nikiforowicz przez dzień cały leży na ganku — jeżeli dzień jest niezbyt upalny to zazwyczaj wystawia plecy na słońce — i nigdzie chodzić nie chce. Jeśli mu rankiem co do głowy strzeli, to przejdzie się po podwórzu, obejrzy gospodarstwo i znów udaje się na spoczynek. Dawnemi czasy zdarzało się, że odwiedzał Iwana Iwanowicza. Iwan Iwanowicz to człek bardzo subtelny i w rozmowie porządnej nigdy słowa nieprzyzwoitego nie powie; ba, zaraz się obrazi, gdy coś takiego usłyszy. Iwan Nikiforowicz nigdy się wstrzymać nie potrafi. Wówczas zazwyczaj Iwan Iwanowicz wstaje z miejsca i rzecze: „Dosyć już, dosyć, Iwanie Nikiforowiczu, lepiej wyjdź pan pogrzać się na słońcu, zamiast takich Bogu niemiłych słów używać“ — Iwan Iwanowicz bardzo się gniewa, gdy mu do barszczu mucha wpadnie: traci wówczas panowanie nad sobą — i prask talerzem o ziemię, a i gospodarz coś przy tem oberwie. Iwan Nikiforowicz namiętnie lubi się kąpać i, kiedy siądzie sobie w wodzie po szyję, każe stół do wody wstawić i samowar — i bardzo lubi pijać herbatkę w takiej przewiewnej atmosferze. Iwan Iwanowicz goli brodę dwa razy na tydzień; Iwan Nikiforowicz — raz tylko. Iwan Iwanowicz jest niezmiernie ciekawy: Boże uchowaj jeśli zaczniesz mu coś opowiadać i nie dopowiesz do końca.

Jeżeli zaś jest z czegokolwiek niezadowolony, to natychmiast daje to poznać po sobie. Z miny natomiast Iwana Nikiforowicza niesłychanie trudno wywnioskować, czy jest zadowolony, czy zły; jeżeli nawet ucieszy się z czegoś, to nie pokaże. Iwan Iwanowicz ma charakter nieco bojaźliwy. Iwan Nikiforowicz, przeciwnie, ma szarawary o tak szerokich fałdach, że gdyby je wydmuchać, to możnaby w nich zmieścić całe podwórze wraz ze stodołami i domostwem. Iwan Iwanowicz ma duże wyraziste oczy koloru tabaczkowego i usta trochę podobne do litery starosłowiańskiej i ż y c a. Iwan Nikiforowicz ma oczki maleńkie żółtawe, ginące zupełnie gdzieś pomiędzy gęstemi brwiami a pulchnemi policzkami, nos zaś — w kształcie dojrzałej śliwki. Iwan Iwanowicz, nim tabaką poczęstuje, zawsze wprzódy liźnie językiem wieko tabakiery, potem pstryknie po niej palcem i podając powie, jeśli się zna z panem: „Czy śmiem prosić, panie łaskawy, by pan raczył?“ — jeśli zaś pana nie zna, to: „czy śmiem prosić, panie łaskawy, nie znając rangi pana ani godności jego, by pan raczył?“ Iwan Nikiforowicz da panu wprost do ręki swój rożek i doda tylko: „Racz pan.“ Zarówno Iwan Iwanowicz jak i Iwan Nikiforowicz bardzo nie lubią pcheł i dlatego właśnie ani Iwan Iwanowicz ani Iwan Nikiforowicz nie przepuszczą nigdy Żyda z towarami, by nie kupić u niego słoika eliksiru przeciw tym insektom, zwymyślawszy go oczywiście wprzódy, jak należy, za to, że wyznaje wiarę żydowską.

Zresztą, nie bacząc na pewne rozbieżności charakterów, zarówno Iwan Iwanowicz jak i Iwan Nikiforowicz są to bardzo zacni ludzie.

Rozdział II.

Z którego można się dowiedzieć, czego zachciało się Iwanowi Iwanowiczowi, o czem toczyła się rozmowa pomiędzy Iwanem Iwanowiczem a Iwanem Nikiforowiczem i na czem się to skończyło.

Pewnego ranka — było to w lipcu — Iwan Iwanowicz leżał sobie pod okapem. Dzień był gorący; suche powietrze przelewało się strugami. Iwan Iwanowicz zdążył już być za miastem u kosiarzy i na futorze, zdążył rozpytać się dokumentnie napotkanych chłopów i bab, skąd, dokąd, poco i naco, nachodził się aż strach, więc legł odpocząć. Leżąc, długo oglądał komory, podwórze, stodoły, kury drepcące po podwórzu i myślał w duchu: „Boże drogi! ale też ze mnie gospodarz! Czego tylko nie posiadam? Ptactwo, domostwo, spichlerze, wszelkie zachcianki, wódka destylowana, nalewki; w sadzie gruszki i śliwki; w ogrodzie mak, groszek, kapusta... I czego mi brak jeszcze? Chciałbym wiedzieć, czego mi jeszcze brak?“

Zadawszy sobie pytanie o tak przepastnej głębi, Iwan Iwanowicz pogrążył się w zadumie, a przez ten czas oczy jego wyszperały nowe przedmioty, przesadziły przez parkan na podwórze Iwana Nikiforowicza i mimowoli zajęły się ciekawem widowiskiem. Chuda babina wynosiła kolejno zależałe ubranie i rozwieszała je do przewietrzenia na sznurze. Wkrótce stary mundur z wyświechtanemi galonami wyciągnął w powietrze rękawy i objął niemi kaftan ze złotogłowiu; za nim wysunął się mundur szlachecki z heraldycznemi guzami i odgryzionym kołnierzem; białe poplamione pantalony kaszmirowe, które ongiś naciągał Iwan Nikiforowicz na nogi, a które obecnie możnaby naciągnąć chyba tylko na jego palce. Za niemi wkrótce zawisły inne, w kształcie litery rosyjskiej П, potem niebieski beszmet ko-

zacki, który kazał sobie uszyć Iwan Nikiforowicz jeszcze dwadzieścia lat temu, kiedy miał zamiar wstąpić do milicji i nawet zapuścił sobie w tym celu wąsy. Wreszcie, wystawiona została szpada podobna do szpikulca, sterczącego w powietrzu, potem zadyndały fałdy czegoś podobnego do fraczka trawiasto-zielonego koloru, z miedzianemi guzami wielkości dziesiątki. Z pod fałd wyhynęła kamizela, obszyta złotą lamą, z ogromnem wycięciem z przodu. Kamizelę zakryła niebawem stara spódnica babki nieboszczki z kieszeniami, do których możnaby położyć po kawonie. Wszystko to, mieszając się razem, dawało Iwanowi Iwanowiczowi nader zajmujące widowisko, podczas gdy promienie słońca, obejmując miejscami niebieski lub zielony rękaw, czerwone wyłogi lub część złotogłowiu, albo mieniąc się na ostrzu szpady, czyniły z tego coś niezwykłego, coś podobnego do tych jasełek, które rozwożą po futorach wędrowni spryciarze — zwłaszcza gdy ciżba ludu, ściśnięta do kupy, gapi się na króla Heroda w złotej koronie lub na Antka ciągnącego kozę; za jasełkami skowyczą skrzypki; Cygan brzdąka palcami po wargach miast bębna, a słońce zachodzi i świeży chłód nocy południowej niepostrzeżenie przytula się mocniej do świeżych ramion i piersi jędrnych bab z futorów.

Wkrótce babina wylazła ze spichrza stękając i dźwigając na sobie staroświeckie siodło z urwanemi strzemionami, z wytartemi skórzanemi olstrami do pistoletów, z czaprakiem ongiś koloru amarantowego, ze złotym haftem i miedzianemi blachami.

— A to głupie babsko! — pomyślał Iwan Iwanowicz — toć ona jeszcze wyciągnie samego Iwana Nikiforowicza do przewietrzenia!

Istotnie, Iwan Iwanowicz nie wiele się omylił w swoich domysłach. Za jakieś pięć minut wywindowały się nankinowe szarawary Iwana Nikiforowicza i zajęły

prawie pół podwórza. Następnie babina wyniosła jeszcze czapkę i strzelbę.

— A to co? — pomyślał Iwan Iwanowicz — nie widziałem nigdy strzelby u Iwana Nikiforowicza. Cóż to on? Strzelać nie strzela a strzelbę trzyma! Na co mu ona? A rzecz wspaniała! Dawno już chciałem nabyć coś takiego. Chce mi się bardzo mieć tę strzelbę: lubię pobawić się fuzyjką. Hej, ty, babo! — krzyknął Iwan Iwanowicz, kiwając palcem.

Starucha podeszła do płotu.

— Co tam masz, babo?

— A sam pan widzi — strzelba.

— Jaka strzelba?

— A kto ją tam wie jaka! Jakby to moje było, tobym może wiedziała z czego to zrobione; ale to pańskie.

Iwan Iwanowicz wstał, zaczął oglądać strzelbę na wszystkie strony i nie zapomniał zrobić babie wymówki za to, że powiesiła wywietrzać strzelbę wraz ze szpadą.

— Musi być żelazna — rzekła baba .

— Hm! żelazna. A dlaczego ma być żelazna? — mruczał do siebie Iwan Iwanowicz. „A czy dawno ma pan tę strzelbę?“

— A może i dawno.

— Dobra rzecz! — ciągnął Iwan Iwanowicz — Uproszę go. Co mu po niej? Albo zrobię wymianę. A co, babciu, pan w domu?

— W domu.

— Cóż, leży?

— A leży.

— Ano, dobrze, pójdę do niego.

Iwan Iwanowicz ubrał się, wziął do rąk sękatą laskę od psów, bo w Mirhorodzie spotyka się ich daleko więcej niż ludzi, i poszedł.

Aczkolwiek podwórze Iwana Nikiforowicza leżało tuż obok podwórza Iwana Iwanowicza i można było prze-

leść z jednego na drugie przez parkan pleciony, to, jednak Iwan Iwanowicz udał się przez ulicę. Z ulicy tej trzeba było skręcić do zaułka, który był tak wąski, że gdy zdarzyło się tam spotkać dwóm wozom, to nie mogły się już rozminąć i zostawały w takiej pozycji aż do czasu, póki ich kto, ułapiwszy za tylne koła, nie odciągał w przeciwną stronę; piechur zaś dekorował się, niczem kwiatami, baziami ostu, rosnącego z obydwóch stron ulicy pod płotem. Na ten zaułek wychodziły z jednej strony stodoła Iwana Iwanowicza, z drugiej — spichrz, wrota i gołębnik Iwana Nikiforowicza. Iwan Iwanowicz podszedł do wrótni i zarumotał zasuwą: wewnątrz rozległo się ujadanie psów; ale spostrzegłszy znajomą osobę, psia sfora, merdając ogonami, pobiegła niebawem zpowrotem. Iwan Iwanowicz przeszedł przez podwórze, na którem pstro było od indyjskich gołębi, karmionych własnoręcznie przez Iwana Nikiforowicza, od skorup kawonów i melonów; tam i ówdzie trochę zieleni, tu znów koło złamane lub obręcz od beczułki albo bachor w brudnej koszulinie: obrazek ulubiony przez malarzy! Cień od rozwieszonych ubrań pokrywał niemal pół podwórza i dawał mu nieco chłodu. Babina przywitała go ukłonem i zagapiwszy się, zastygła na miejscu. Przed domem mizdrzył się ganeczek z okapem na dwóch słupach dębowych — niepewna ochrona od słońca, które w tym czasie na Ukrainie żartować nie lubi i oblewa przechodnia od stóp do głów gorącym potem. Już ta jedna choćby okoliczność dowodzi, jak bardzo pragnął Iwan Iwanowicz posiadać tę strzelbę, jeżeli zdecydował się wyjść o tej porze, wbrew ustalonemu nawyknieniu — wychodził bowiem na spacer tylko wieczorami.

Pokój, do którego wszedł Iwan Iwanowicz, był zupełnie ciemny, bo okiennice zamknięto, a promień słońca, przechodząc przez dziurę wyciętą w okiennicy, nabrał barw tęczy i uderzając w ścianę przeciwległą ma-

lował na niej pstry landszaft: pokryte oczeretem dachy, drzewa i rozwieszone na podwórzu ubrania, wszystko tylko w odwróconym stanie. Od tego cały pokój rozpływał się w jakiemś cudownem połświetle.

— Szczęść Boże — rzekł Iwan Iwanowicz.

— A, witam pana, Iwanie Iwanowicz! — odpowiedział mu głos z ciemnego kąta pokoju. Wówczas dopiero Iwan Iwanowicz spostrzegł Iwana Nikiforowicza leżącego na rozesłanym wprost na podłodze dywanie. —

— Daruje mi pan, że leżę przed nim w naturze. — Iwan Nikiforowicz leżał bez niczego, nawet bez koszuli.

— Nic nie szkodzi. Czy przespał się pan dziś dowoli, Iwanie Nikiforowiczu?

— Przespałem się. A pan się przespał, Iwanie Iwanowiczu?

— Przespałem się.

— Więc pan teraz dopiero wstał?

— Teraz wstałem? Bój się pan Boga, Iwanie Nikiforowiczu! Jak można spać tak długo? Właśnie wróciłem przed chwilą z futoru. Piękne żyta widziałem po drodze! Śliczne! I siano takie rosłe, pulchne, bujne!

— Horpino! — huknął Iwan Nikiforowicz — przynieśno dla Iwana Iwanowicza wódki i pierogów w śmietanie!

— Ładny mamy czas obecnie.

— Niech pan nie chwali, Iwanie Iwanowiczu! A bodaj djabli z takim czasem! Nie wiedzieć nawet gdzie się ukryć od skwaru!

— Bez djabła nijak obyć się pan nie może! Ech, Iwanie Nikiforowiczu! Przypomni pan sobie moje słowa, ale już zapóźno będzie: odpokutuje pan na tamtem świecie za te Bogu niemiłe słowa.

— Czemże obraziłem pana, Iwanie Iwanowiczu? Nie tknąłem przecież ani ojca ani matki pańskiej. Nie rozumiem, czem mogłem obrazić pana?

— Dosyć już, dosyć, Iwanie Nikiforowiczu!

— Jak Boga kocham, nie obraziłem pana, Iwanie Iwanowiczu!

— Dziwno mi, że przepióreczki dotychczas na fujarkę nie idą.

— Jak tam pan chcesz, myśl pan, co mu się żywnie podoba, tylko ja pana niczem nie obraziłem.

— Doprawdy nie wiem, dlaczego nie idą — ciągnął Iwan Iwanowicz, udając że nie słyszy Iwana Nikiforowicza. Czy to czas jeszcze nie nadszedł...? tylko że czas wydaje mi się najodpowiedniejszy.

— Powiadasz pan, żyta ładne?

— Prześliczne żyta, prześliczne!

Potem zaległo milczenie.

— Cóż to, Iwanie Nikiforowiczu, ubranie pan przewietrzasz? — przemówił wreszcie Iwan Iwanowicz.

— A tak, piękne, prawie nowe ubrania, zagnoiła mi baba przeklęta: teraz je wietrzę... Sukno delikatne, wspaniałe, tylko przenicować — i znów je nosić można.

— Podoba mi się jedna rzecz, Iwanie Nikiforowiczu.

— Jaka?

— Powiedz pan, naco panu ta strzelba, co to ją wystawiono na wywietrzenie wraz z ubraniem? — Tu Iwan Iwanowicz poczęstował tabaką: „Czy śmiem prosić, by pan raczył?"

— Nie szkodzi, niech się pan sam raczy, ja zażyję własnej — Tu Iwan Nikiforowicz pomacał wokół siebie i sięgnął po rożek. — A to głupie babsko! Więc i flintę też powiesiła? — A dobrą tabakę robi ten Żyd w Soroczyńcach. Nie wiem, co tam do niej kładzie, a takie to pachnące! Kanuper trochę przypomina. Weź pan, pożuj trochę w ustach: nieprawda, że kanuper przypomina? Racz się pan!

— Powiedz pan proszę, Iwanie Nikiforowiczu, ja wciąż do tej strzelby wracam: powiedz pan, co z nią będziesz robił? Przecież panu niepotrzebna strzelba?

— Jakto niepotrzebna? a gdy strzelać wypadnie?

— Na Boga, Iwanie Nikiforowiczu, kiedyż pan strzelać będzie? Chyba po sądzie ostatecznym? Wiadomo mi bowiem, a i inni o tem wiedzą, żeś pan nigdy żadnej kaczki nie ubił, bo i z natury nie jest pan tak przez Boga stworzony, by strzelać. Ma pan wygląd i postawę zbyt poważną. Jakże pan włóczyć się będzie po bagnach, skoro ubiór pański, który nie w każdej rozmowie po imieniu nazwać wypada, dotychczas jeszcze na dworze się wietrzy? He? Nie, stanowczo, panu należy się pokój, odpoczywanie (Iwan Iwanowicz, jak już o tem wyżej wzmiankowano, mówił niezwykle kwieciście, gdy mu wypadło przekonywać kogokolwiek). Tak jest! panu jeno przyzwoite czynności spełniać się godzi. Posłuchaj pan, oddaj mi ją!

— Ale jakże to? To jest strzelba droga: takiej strzelby nigdzie pan dziś już nie znajdzie. Jeszcze kiedy wybierałem się do milicji, kupiłem ją u Turczyna, a teraz mam ją tak, ni stąd ni zowąd, oddać? Jak można! To jest rzecz niezbędna!

— I czemuż to niezbędna?

— Jakto — czemu? A jak zbóje dom napadną?... Ho, i jak jeszcze niezbędna! Chwalić Boga, teraz mam spokój i nikogo się nie lękam. A dlaczego? — bo wiem, że w komorze mojej strzelba stoi.

— Ładna strzelba! A toć ona zamek ma popsuty, Iwanie Nikiforowiczu!

— To co z tego, że popsuty? Można zreperować: trzeba go tylko olejem z konopi wysmarować, żeby nie rdzewiał.

— Ze słów pańskich sądząc, Iwanie Nikiforowiczu, nie widzę wcale przyjacielskiego do mnie stosunku. Nie chce pan niczego dla mnie zrobić w dowód przyjaźni.

— Jakżeż to tak, Iwanie Iwanowiczu, mówić pan może, iż nie okazuję panu żadnych dowodów przyjaźni? Jak panu nie wstyd? Woły pańskie pasą się na moim stepie i ani razu nie kazałem ich zająć. Udając się do

BIBLIOTEKA NARODOWA

Połtawy, zawsze się pan do mnie po brykę zwracasz — i cóż? czy kiedykolwiek odmówiłem panu? Bachory pańskie przełażą przez parkan na moje podwórze i bawią się z memi psami — ja nic nie mówię, niech się bawią, proszę, byleby niczego nie ruszały! Niech się bawią!...

— Jeśli już pan nie chce mi jej ofiarować, to w takim razie zróbmy wymianę.

— Cóż mi pan da za nią? — Przy tych słowach Iwan Nikiforowicz wsparł się na łokciu i spojrzał na Iwana Iwanowicza.

— Dam panu za nią burą świnię, tę samą, którą wykarmiłem na ubój. Świnia piękna! Zobaczy pan, czy w przyszłym roku nie obdarzy pana prosiętami.

— Nie rozumiem, Iwanie Iwanowiczu, jak pan może mówić w taki sposób. Na co mi ta pańska świnia? Chyba djabłu na stypę.

— I znów! Bez djabła nijak pan nie może! Grzech to, Iwanie Nikiforowiczu, jak Boga kocham, grzech!

— Jakżeż to tak, doprawdy, Iwanie Iwanowiczu, ofiarujesz mi pan za strzelbę licho wie co: świnię!

— Czemuż to świnia jest licho wie co, Iwanie Nikiforowiczu?

— Bo jakże? Zastanów się pan ździebko. Tamto strzelba, rzecz bądź co bądź, znana, a to — licho wie co: świnia! Gdybyś to nie pan mówił, mógłbym przyjąć słowa te za obelgę!

— A cóż złego dostrzegł pan w tej świni?

— Za kogo mnie pan masz, doprawdy? Żebym ja świnię...

— Siadaj pan, siadaj! Nie będę już więcej... Niech sobie strzelba u pana zostanie, niech gnije, niech rdzewieje stojąc w kącie w komorze — nie chcę więcej gadać o niej.

Po tych słowach zaległo milczenie.

— Gadają, — zaczął Iwan Iwanowicz — że trzej królowie wypowiedzieli wojnę cesarzowi naszemu.

— Tak, mówił mi coś o tem Iwan Fiodorowicz. Cóż to za wojna? i o co?

— Napewno twierdzić nie mogę, Iwanie Nikiforowiczu, o co ta wojna. Sądzę jednak, że królowie zażądali, byśmy wszyscy na wiarę turecką przeszli.

— Patrzcie, czego się durniom zachciało! — rzekł Iwan Nikiforowicz, unioślszy głowy.

— Otóż to właśnie, a cesarz nasz wypowiedział im za to wojnę. Nie, powiada, to wy raczej sami przejdźcie na wiarę Chrystusową.

— I cóż? Przecież nasi pobiją tamtych na głowę, Iwanie Iwanowiczu?

— A pobiją. — Więc nie chce pan, Iwanie Nikiforowiczu, wymienić strzelby?

— Dziwią mnie, Iwanie Iwanowiczu, pańskie słowa! Jest pan, zdaje się, człowiekiem znanym z uczoności a mówi pan jak niedorostek. Żebym ja był na tyle głupi...

— Siadaj pan, siadaj! Ostań pan z Bogiem! A niech zdechnie, nie będę o niej więcej mówił...

W tym czasie przyniesiono zakąski.

Iwan Iwanowicz wychylił kieliszek i zakąsił pierogiem w śmietanie. — Posłuchaj pan, Iwanie Nikiforowiczu, dam panu prócz świni jeszcze dwa worki owsa: nie siał pan przecież owsa? W tym roku i tak będziesz pan musiał owies kupować.

— Jak Bozię kocham, Iwanie Iwanowiczu, z panem gadać, to się wprzódy grochu najeść trzeba! (To jeszcze nic: Iwan Nikiforowicz i nie takie zdania puszczać potrafi!) — Któż to widział, żeby ktoś strzelbę wymieniał na dwa worki owsa? Ale bekieszy swojej nie postawi pan przecie, hę?

— A zapomniał pan, Iwanie Nikiforowiczu, że do tego jeszcze świnię panu daję.

— Co? Dwa worki owsa i świnię za strzelbę?

— A cóż, czy to mało?

— Za strzelbę?

— Naturalnie, za strzelbę.

— Dwa worki za strzelbę?

— Dwa worki nie puste lecz z owsem; a o świni pan zapomniał?

— Pocałuj się pan ze swoją świnią, a jak pan nie chcesz — to z djabłem!

— O, pana tylko zaczepić! Zobaczy pan: naszpikują panu na tamtym świecie język rozżarzonemi węgielkami za te szpetne, Bogu przeciwne, słowa. Po rozmowie z panem należałoby twarz i ręce umyć, i samemu kadzidłem się okurzyć.

— Za pozwoleniem, Iwanie Iwanowiczu, strzelba — to rzecz szlachetna, najciekawsza, można rzec, zabawka, a prócz tego ozdoba pokoju bardzo przyjemna...

— Pan, Iwanie Nikiforowiczu, cackasz się z tą swoją strzelbą jak dureń z malowaną torbą — odparł Iwan Iwanowicz z przekąsem, bo istotnie zaczynało go to gniewać.

— A z pana, Iwanie Iwanowiczu, jest prawdziwy gąsior.

Gdyby Iwan Nikiforowicz nie wyrzekł tego słowa, to z pewnością obaj posprzeczaliby się z sobą trochę i rozeszliby się, jak zwykle, przyjaciółmi: lecz obecnie stało się coś zgoła odmiennego. Iwan Iwanowicz aż sponsowiał cały.

— Coś pan powiedział, Iwanie Nikiforowiczu? — spytał podniesionym głosem.

— Powiedziałem, żeś pan do gąsiora podobny, Iwanie Iwanowiczu.

— Jak pan śmiał, zapominając o przyzwoitości, o uszanowaniu dla rangi i nazwiska człowieka, shańbić go tak poniżającem wyzwiskiem?

— Cóż w tem poniżającego? I czegóż to pan, w rzeczy samej, tak wymachuje rękoma, Iwanie Iwanowiczu?

— Powtarzam, jak pan śmiał, wbrew wszelkim zasadom przyzwoitości, nazwać mnie gąsiorem?

— Nakichać chcę panu na głowę, Iwanie Iwanowiczu! Co się pan tak rozindyczył?

Iwan Iwanowicz nie był już w stanie zapanować nad sobą: wargi mu drgały; usta zmieniły zwykły kształt i ż y c y i stały się podobne do O; oczyma mrugał tak, że aż lęk ogarniał. To przytrafiało się Iwanowi Iwanowiczowi nader rzadko: trzeba go było wprzódy ogromnie rozgniewać.

— A więc oświadczam panu, — rzekł Iwan Iwanowicz — że znać pana nie chcę.

— Wielka mi krzywda! Jak Bozię kocham, nie będę płakał z tego powodu — odparł Iwan Nikiforowicz. — Kłamał, bestja, kłamał, jak Bozię kocham, kłamał. Było mu bardzo przykro.

— Noga moja nie przestąpi progu tego domu.

— Ehe — he! — odparł Iwan Nikiforowicz, ze złości nie wiedząc sam, co ma robić i wbrew przyzwyczajeniu stając na równe nogi. — Hej, babo, chłopcze! — We drzwiach ukazał się ten sam chudy babsztyl i niewielkiego wzrostu chłopiec, owinięty w długi i szeroki surdut. — Weźcie Iwana Iwanowicza pod ręce i wyprowadźcie go za drzwi.

— Co? Szlachcica? — krzyknął z poczuciem godności i oburzenia Iwan Iwanowicz. — Niech się tylko który odważy! Zmiażdżę was razem z waszym głupim panem! Kruki miejsca waszego nie znajdą! (Iwan Iwanowicz przemawiał niesłychanie mocno, gdy mu duszę wstrząśnięto do głębi.)

Cała grupa przedstawiała obraz potężny: Iwan Nikiforowicz, stojący pośrodku pokoju w pełni swoich kras! Baba z rozdziawioną gębą, z miną potwornie bezmyślną, pełna przerażenia. Iwan Iwanowicz z ręką wzniesioną do góry, jak to zazwyczaj przedstawia się trybunów rzymskich! Była to chwila niezwykła, spektakl wspaniały! A przecież jeden tylko był tu widz: chłopak w niepo-

miernym surducie, co stał sobie dość spokojnie i dłubał palcem w nosie.

Nareszcie Iwan Iwanowicz chwycił czapkę. „Bardzo pięknie postępujesz pan ze mną. Iwanie Nikiforowiczu! Ja to panu kiedyś jeszcze przypomnę!“

— Wynoś się pan stąd, Iwanie Iwanowiczu, wynoś się stąd! I pamiętaj, nie pokazuj mi się na oczy; bo, Iwanie Iwanowiczu, mordę ci nabiję!

— Masz pan za to, Iwanie Nikiforowiczu! — odpalił Iwan Iwanowicz, pokazując mu figę i trzasnąwszy za sobą drzwiami, które jękły i ze skowytem otwarły się znów.

Iwan Nikiforowicz ukazał się był we drzwiach i chciał jeszcze coś dorzucić, ale Iwan Iwanowicz już się nie oglądał i pędził precz z podwórza.

Rozdział III.

CO ZASZŁO PO KŁÓTNI IWANA IWANOWICZA Z IWANEM NIKIFOROWICZEM?

A więc, dwaj poważani mężowie, chluba i ozdoba Mirhorodu, poważnili się z sobą! i o co? o głupstwo, o gąsiora. Przestali się widywać, zerwali wszelkie stosunki, gdy przedtem uchodzili za nierozłączonych przyjaciół! Dawniej dnia nie było, by Iwan Iwanowicz i Iwan Nikiforowicz nie posyłali do siebie wzajemnie służby z zapytaniem jak tam zdrowieczko i często rozmawiali ze swych balkonów, prawiąc sobie nawzajem takie dusery, że aż się serce radowało. Co niedziela Iwan Iwanowicz w bekieszy sukiennej, Iwan Nikiforowicz w nankinowym żółto-bronzowym kazakiecie udawali się, pod rączkę niemal, na nabożeństwo do cerkwi. I kiedy Iwan Iwanowicz, który miał wzrok nader bystry, pierwszy dostrzegał kałużę lub jakieś brudy pośrodku ulicy, co

zdarza się nieraz w Mirhorodzie, to zawsze zwracał się do Iwana Nikiforowicza z temi słowy: „Ostrożnie, nie stąpnij pan w to miejsce, albowiem tu jest nieładnie.“ Iwan Nikiforowicz, ze swej strony, również wykazywał przy każdej sposobności wzruszające objawy przyjaźni i gdziekolwiekby stał, bodaj nawet daleko, zawsze wyciągnie do Iwana Iwanowicza rękę z rożkiem, mówiąc: „Racz pan“. A jakie piękne gospodarstwo każdy z nich posiada!... I oto dwaj przyjaciele... Kiedym się o tem dowiedział, jakby we mnie piorun strzelił! Przez długi czas wierzyć temu nie chciałem. Boże sprawiedliwy! Iwan Iwanowicz powaśnił się z Iwanem Nikiforowiczem! Tacy zacni ludzie! Czy jest jeszcze teraz coś stałego na tym świecie?

Kiedy Iwan Iwanowicz wrócił do domu, to przez dłuższy czas jeszcze był bardzo wzburzony. Dawniej zazwyczaj zajdzie wprzódy do stajni zajrzeć, czy kobyłka żre siano (Iwan Iwanowicz miał kobyłkę siwą z łysinką na czole: bardzo ładna kobyłka!); potem nakarmi indyczki i prosięta z rąk własnych i wówczas dopiero uda się do mieszkania, gdzie albo robi naczynia drewniane (wprost mistrzowsko, nie gorzej od tokarza, potrafi toczyć rozmaite z drzewa przedmioty), lub też czyta książeczkę drukowaną u Lubiusza, Gariusza i Popowa (tytułu książki Iwan Iwanowicz nie pamięta, bo dziewucha dawno już oderwała górną część karty tytułowej, bawiąc dziecko), albo wypoczywa sobie pod okapem. Obecnie jednak nie jął się żadnego ze swych zwykłych zajęć, lecz spotkawszy Hankę, zaczął ją łajać, czemu się pęta po próżnicy, wówczas gdy Hanka dźwigała właśnie kaszę do kuchni; szwargnął kijem w koguta, który zbliżył się do ganku po odbiór zwykłej daniny, a gdy podbiegł doń umorusany bachor w podartej koszulinie i zakwilił: „Tata, tata! daj pielnika!“ — to Iwan Iwanowicz pogroził mu tak strasznie palcem i tak zatupał nogami, że przerażony bachor pomknął Bóg raczy wiedzieć dokąd.

Nareszcie uspokoił się przecież i wrócił do zwykłego trybu zajęć. Późno zasiadł do obiadu i zaledwie pod wieczór dopiero legł wypocząć pod okapem. Dobry barszczyk na gołębiach, który mu sporządziła Hanka zatarł zupełnie przykre zdarzenie poranne. Iwan Iwanowicz począł znów z zadowoleniem oglądać swe gospodarstwo. Wreszcie zatrzymał wzrok swój na podwórzu sąsiedniem i rzekł sam do siebie: „Nie byłem dziś jeszcze u Iwana Nikiforowicza, trzeba będzie wstąpić do niego". Po tych słowach Iwan Iwanowicz wziął czapkę i laskę i udał się na ulicę; zaledwie jednak przekroczył bramę, przypomniał sobie kłótnię, splunął i wrócił do domu. Taki sam niemal odruch miał miejsce na podwórzu Iwana Nikiforowicza. Iwan Iwanowicz widział, jak baba już zadarła nogę na płot, z zamiarem przedostania się na jego podwórze, gdy raptem zagrzmiał głos Iwana Nikiforowicza: „Z powrotem, z powrotem, nie trzeba!" Iwanowi Iwanowiczowi jednak zaczynało się już przykrzeć. Bardzo możliwe, iż czcigodni ci mężowie następnego już ranka pogodziliby się z sobą, gdyby nie to, że szczególne wydarzenie w domu Iwana Nikiforowicza zniweczyło wszystkie nadzieje i podlało oliwy do gasnącego ognia.

Do Iwana Nikiforowicza pod wieczór dnia tegoż przyjechała Agafja Fiedosiejewna. Agafja Fiedosiejewna nie była ani krewną ani spowinowaconą ani nawet kumą Iwana Nikiforowicza. Nie miała więc, zdawałoby się, żadnego powodu przyjeżdżać a i sam Iwan Nikiforowicz nie był zbytnio z tego powodu zadowolony; tem nie mniej, jeździła doń przecież i bawiła całemi tygodniami, a nieraz i dłużej. Iwanowi Nikiforowiczowi było bardzo przykro, a jednak, rzecz dziwna, słuchał się jej jak dziecko, i chociaż próbował czasem przekomarzać się z nią, to i tak zawsze Agafja Fiedosiejewna była górą.

Przyznam się, że nie rozumiem, dlaczego tak się

dzieje, że kobiety chwytają nas za nos z taką zręcznością, jakgdyby to była rączka od imbryka; albo ręce ich są już tak urządzone, albo nosy nasze do niczego więcej nie nadają się. I nie bacząc na to, że nos Iwana Nikiforowicza był nieco podobny do śliwki, przecież jednak chwyciła go za ten nos i oprowadzała za sobą jak pieska. On zaś, chcąc nie chcąc, zmienił nawet przy niej zwykły swój tryb życia: nie wylegiwał się już tak długo na słońcu, a jeżeli nawet leżał, to nie w naturze a zawsze nakładał koszulę i szarawary, chociaż Agafja Fiedosiejewna bynajmniej tego nie żądała. Nie była ona zwolenniczką ceremonji i kiedy Iwan Nikiforowicz zapadał na febrę, sama, własnoręcznie, nacierała go od stóp do głów terpentyną i octem. Agafja Fiedosiejewna nosiła na głowie czepiec, trzy brodawki na nosie i szlafrok kawowy z żółtemi kwiatuszkami. Cała jej figura podobna była do baryłki i wobec tego odszukać jej kibić było tak samo trudno, jak ujrzeć własny swój nos bez lustra. Nóżki miała króciuteńkie, sformowane na kształt dwóch poduszek. Plotkowała, jadła gotowane buraki co rano i wprost wspaniale umiała wymyślać; a przy wszystkich tych najrozmaitszych czynnościach twarz jej ani na chwilę nie zmieniała swego wyrazu, czego zazwyczaj dokazać potrafią tylko niewiasty.

Zaledwie przyjechała, wszystko poszło do góry nogami. „Ty, Iwanie Nikiforowiczu, nie gódź się z nim i nie proś go o przebaczenie: on czyha na twą zgubę, taki to już człowiek! Ty go jeszcze nie znasz!“ — Mella ozorem baba przeklęta i mella, aż dopięła swego: Iwan Nikiforowicz i słuchać nawet nie chciał o Iwanie Iwanowiczu.

Wszystko poszło innym trybem. Jeżeli pies sąsiedzki przybiegł kiedy na podwórze, to go tłukli ile wlezie; kiedy bachory przełaziły przez płot, to wracały do domu z bekiem, z podwiniętemi do góry koszulinami i ze śladami rózg z tyłu. Nawet babina, gdy Iwan Iwanowicz chciał

ją spytać o coś, dopuściła się takiej nieprzyzwoitości, że Iwan Iwanowicz, jako człek nad wyraz delikatny, splunął tylko i powiedział: „Co za podły babsztyl! gorsze to od swego pana!“

Na dobitek wreszcie jako szczyt wszystkich obelg, znienawidzony sąsiad wybudował wprost naprzeciw niego, w miejscu gdzie zazwyczaj przełaziło się przez parkan, chlewisko gęsie, jakgdyby ze szczególną premedytacją, chcąc w ten sposób pogłębić jeszcze zniewagę. To wstrętne dla Iwana Iwanowicza chlewisko wybudowano z szatańską wprost szybkością — w ciągu jednego dnia.

Wywołało to w Iwanie Iwanowiczu gniew i chęć pomsty. Nie dał po sobie jednak żadnego znaku zgryzoty, nie bacząc na to, że chlewisko zajęło nawet część jego gruntu; lecz serce biło mu tak mocno, że było mu niesłychanie trudno zachować spokój zewnętrzny.

W ten sposób spędził dzień. Nastała noc... O, gdybym był malarzem, jak cudownie odmalowałbym cały czar tej nocy! Odmalowałbym, jak śpi cały Mirhorod; jak nieruchomo patrzą nań gwiazdy bez liku; jak widoczną ciszę mąci bliskie i dalekie szczekanie psów; jak zakochany zakrystjan przełazi płot z rycerską wprost odwagą; jak białe ściany domów, objęte poświatą księżyca, stają się jeszcze bielsze, ocieniające je drzewa jeszcze ciemniejsze, cienie od drzew stają się czarniejsze, kwiaty i zamilkła trawa wonniejsze, a świerszcze, niestrudzeni rycerze nocy, społem ze wszystkich kątów zawodzą swe brzękliwe piosenki. Odmalowałbym, jak w jednym z tych niskich glinianych domeczków, miotająca się na samotnem posłaniu czarnobrewa mieszczka o drgających młodych piersiach widzi we śnie wąs huzarski i ostrogi, a światło księżyca śmieje się na jej policzkach. Odmalowałbym, jak po białej drodze migoce czarny cień nietoperza, sadowiącego się na białe kominy domów... Wątpię jednak, czy potra-

filbym odmalować Iwana Iwanowicza, który wyszedł w tę noc z piłą w ręku: tyle rozmaitych uczuć malowało się na jego twarzy. Cichuteńko zakradał się i przyczołgał pod gęsie chlewisko. Psy Iwana Nikiforowicza nic jeszcze nie wiedziały o kłótni między nimi i dlatego pozwoliły mu, jako staremu druhowi, zbliżyć się do chlewu, który cały trzymał się na czterech słupkach dębowych. Przyczołgał się do najbliższego słupa, przystawił doń piłę i zaczął piłować. Zgrzytanie piły zmuszało go do oglądania się co chwila, lecz myśl o doznanej krzywdzie dodawała mu odwagi. Pierwszy słup został już przepiłowany; Iwan Iwanowicz zabrał się do następnego. Oczy mu pałały i nie widziały nic ze strachu. Raptem Iwan Iwanowicz krzyknął i zdrętwiał: zwidział mu się nieboszczyk; lecz niebawem ochłonął z przerażenia, gdyż spostrzegł, że był to gąsior, co wysunął szyję tuż przed nim. Iwan Iwanowicz splunął ze złości i wziął się znów do roboty. Już i drugi słup przepiłowany; budowla drgnęła. Serce Iwana Iwanowicza poczęło bić okropnie, gdy wziął się do trzeciego, tak że nawet kilkakrotnie przerywał robotę. Przepiłował już przeszło połowę słupa, gdy nagle chwiejąca się budowla pochyliła się na bok. Iwan Iwanowicz ledwie zdążył odskoczyć, jak chlewisko runęło z rumotem. Chwycił piłę, w okropnym strachu pobiegł do domu i padł na łóżko, nie mając nawet odwagi spojrzeć przez okno na skutki strasznej swej roboty. Zdawało mu się, że całe podwórze Iwana Nikiforowicza się zbiegło: stary babsztyl, Iwan Nikiforowicz, chłopiec w niepomiernym surducie — wszyscy z kłonicami, pod przewodem Agafji Fiedosiejewny, biegli burzyć dom jego.

Cały dzień następny spędził Iwan Iwanowicz jak w febrze. Wciąż mu się zdawało, że znienawidzony sąsiad przez pomstę spali mu przynajmniej dom; i dlatego dał rozkaz Hance zaglądać co chwila do wszystkich kątów, czy nie podłożono gdzie suchej słomy.

W końcu, by wyprzedzić Iwana Nikiforowicza, Iwan Iwanowicz postanowił wybiec zajączkiem naprzód i złożyć na niego skargę w powiatowym sądzie mirhorodzkim. Jaka była treść tej skargi, o tem dowiedzieć się można z rozdziału następnego.

Rozdział IV

O TEM, CO ZASZŁO W URZĘDZIE MIRHORODZKIEGO SĄDU POWIATOWEGO.

Cudne miasto ten Mirhorod! A jakie ma budowle! I pod słomianym i pod gontowym i pod drewnianym dachem. Na prawo ulica, na lewo ulica — wszędzie piękny płot pleciony: wije się po nim chmiel, wiszą na nim garnki, słonecznik wychyla się z poza niego swą, do słońca podobną, głową, czerwienieje mak, migocą tłuste banie... Śliczności! Płot zawsze jest udekorowany przedmiotami, które czynią go bardziej malowniczym: czy to naciągniętą płachtą, czy koszulą, czy szarawarami. W Mirhorodzie niema złodziei ani oszustów i dlatego każdy wiesza na płot wszystko, co mu się żywnie podoba. Jeżeli będziesz, czytelniku, podchodził ku rynkowi, to napewno zatrzymasz się tu na chwilę, by nasycić oczy pięknym widokiem: mieści się na nim bowiem kałuża, zdumiewająca kałuża! Zajmuje niemal cały rynek. Prześliczna kałuża! Domy i domki, które z oddalenia wyglądają jak kopki siana, obstąpiły ją dokoła i podziwiają jej krasę.

Ja jednak jestem tego zdania, że niema lepszego domu, jak sąd powiatowy. Czy zbudowano go z dębiny, czy z brzeziny — nic mnie to nie obchodzi; lecz ma on, proszę państwa, osiem okien! osiem okien z rzędu — i wszystkie wychodzą wprost na rynek i na tę przestrzeń wodną o której już była mowa, a którą horodni-

czy nazywa jeziorem! Ten jeden dom tylko pomalowany został na kolor granitu; resztę domów w Mirhorodzie poprostu bielono wapnem. Dach na domu cały drewniany i nawet pomalowanoby go napewno czerwoną farbą, gdyby kanceliści nie spożyli przygotowanego w tym celu oleju, po przyprawieniu go cebulą. Fakt ten zdarzył się, jak na złość, w czasie postu i dach został niepomalowany. Na rynek wysuwa się ganek, po którym często drepcą kury, bo na ganku, niemal stale, leży rozsypana kaszka lub inne jadło, czego zresztą nie robi się umyślnie, lecz jedynie przez nieopatrzność interesantów. Dom podzielono na dwie połówki: w jednej mieści się urząd, w drugiej areszt. Urząd zajmuje dwa pokoje: czyste, wybielone; jeden — to poczekalnia dla interesantów, w drugim stoi stół, ozdobiony plamami inkaustu; na stole stoi „ziercało*); cztery krzesła dębowe o wysokich oparciach; wzdłuż ścian kufry okute żelazem, w których przechowuje się całe pliki pieniactw i oszczerstw powiatowych. Na jednym z tych kufrów stał wówczas but, wyglancowany szuwaksem.

Urzędowanie rozpoczęło się od samego rana. Sędzia, człowiek dość tęgi, choć nieco cieńszy od Iwana Nikiforowicza, z dobrą miną, w zasmolonym szlafroku, z fajką i filiżanką herbaty, rozmawiał z podsędkiem. Sędzia miał wargi tuż pod samym nosem i dlatego nos jego mógł wąchać wargę górną, ile tylko dusza zapragnie. Warga ta służyła mu miast tabakiery, bo tabaka, adresowana do nosa, zawsze niemal osiadała na niej. A więc — sędzia rozmawiał z podsędkiem. Bosa dziewucha trzymała na uboczu tacę z filiżankami. Na końcu stołu sekretarz czytał wyrok sprawy, lecz tak monotonnym i pogrzebowym głosem, że nawet sam oskarżony zasnąłby słuchając. Sędzia, rzecz prosta, uczyniłby

*) Wyciąg z kodeksu praw, oprawiony w ramy.

to pierwiej niż kto inny, gdyby w tym czasie właśnie nie nawiązał interesującej rozmowy.

— Umyślnie starałem się dociec, — prawił sędzia, łykając herbatę z wystygłej już filiżanki — jak się to dzieje, że tak pięknie śpiewają. Miałem dwa lata temu wspaniałego drozda. I cóż? Raptem zepsuł mi się zupełnie, zaczął śpiewać Bóg wie co: coraz gorzej i gorzej; charczeć zaczął, chrypieć — ot, poprostu do wyrzucenia! A przecież — niby bagatelka! — a z czego to wszystko? Otóż pod gardziołkiem robi mu się bąbel, mniejszy od groszku. Bąbelek ten należy tylko przekłuć igiełką. Nauczył mnie tego Zachar Prokofjewicz; jeśli pan sobie życzy, opowiem jak się to stało: przyjeżdżam do niego...

— Czy każe pan, Demjanie Demjanowiczu, czytać następną? — przerwał mu sekretarz, który od kilku minut skończył już czytanie.

— To już pan przeczytał? Patrzcie państwo, jak szybko! Ja bo nie słyszałem nawet! A gdzież ta sprawa? Dajno pan, podpiszę. Cóż tam jeszcze mamy?

— Sprawa kozaka Bokitka o kradzioną krowę.

— Dobrze, czytaj pan! Ano, tak, więc przyjeżdżam do niego... Mogę nawet opowiedzieć panu szczegółowo, czem mnie częstował. Do wódki podano bałyk rybi, jedyny w swoim rodzaju! Tak, panie, to nie nasz bałyk, którym... (tu sędzia mlasnął językiem i uśmiechnął się, przy czem nos jego powąchał zwykłą swą tabakierę) ...którym raczy nas kolonjalny nasz sklepik mirhorodzki. Śledzia nie jadłem, bo jak pan wie, od śledzia dostaję zgagi; kawioru jednak skosztowałem — wspaniały kawior! niema co mówić, świetny! Potem wypiłem wódki morelowej, ziółeczkami zaprawianej. Była też szafranówka; lecz szafranówki, jak panu wiadomo, nie używam. Bo to, wie pan, dobry sposób: na początek, jak się to mówi, apetycik podrażnić, a potem już uwieńczyć!... A! kopę lat, kopę zim! — krzyknął na-

gle sędzia, ujrzawszy wchodzącego Iwana Iwanowicza.

— Szczęść Boże! Życzę pomyślności! — rzekł Iwan Iwanowicz, skłoniwszy się na wsze strony z właściwym sobie czarem. Boże drogi, jak ten człowiek potrafi oczarować wszystkich swem zachowaniem! Takiej subtelności nie widziałem nigdzie. Znał on sam doskonale swą wartość i dlatego ogólny szacunek, którym się cieszył, traktował jako obowiązek ludzi w stosunku do swej osoby. Sędzia sam podał krzesło Iwanowi Iwanowiczowi, a nos jego wciągnął z górnej wargi całą tabakę, co zawsze oznaczało najwyższe zadowolenie.

— Czem mogę uraczyć pana, Iwanie Iwanowiczu? — spytał. — Może pan pozwoli filiżankę herbatki?

— Nie, dziękuję uprzejmie — odrzekł Iwan Iwanowicz, ukłonił się i siadł.

— Zrób mi pan ten zaszczyt, jedną filiżankę! — powtórzył sędzia.

— Nie, dziękuję uprzejmie. Bardzom rad z gościnności! — odrzekł Iwan Iwanowicz, ukłonił się i siadł.

— Jedną filiżaneczkę — powtórzył sędzia.

— Nie, niech się pan nie fatyguje, Demjanie Demjanowiczu. — Przyczem Iwan Iwanowicz ukłonił się i siadł.

— Filiżaneczkę?

— Ha, niech już będzie, chyba tylko filiżaneczkę — rzekł Iwan Iwanowicz i wyciągnął rękę do tacy.

Boże święty! Jaki ogrom subtelności może posiadać człowiek! Trudno to wprost wyrazić, jak miłe wrażenie robią takie drobiazgi.

— Czy pozwoli pan jeszcze filiżaneczkę? —

— Dziękuję uprzejmie — odrzekł Iwan Iwanowicz, stawiając na tacy wywróconą filiżankę i kłaniając się.

— Zrób mi pan tę przyjemność, Iwanie Iwanowiczu! —

— Nie mogę, dziękuję uprzejmie. — Po tych słowach Iwan Iwanowicz ukłonił się i siadł.

— Iwanie Iwanowiczu! W dowód przyjaźni, jeszcze filiżaneczkę!

— Nie, bardzo jestem zobowiązany za przyjęcie. Powiedziawszy to, Iwan Iwanowicz ukłonił się i siadł.

— Tylko filiżaneczkę! Jedną filiżaneczkę!

Iwan Iwanowicz wyciągnął rękę ku tacy i wziął filiżankę.

A niechże cię! Jak to człowiek potrafi utrzymać się w godności własnej!

— Ja, Demjanie Demjanowiczu — mówił Iwan Iwanowicz, dopijając ostatni łyk — mam do pana pilny interes: podaję skargę. Przy tych słowach Iwan Iwanowicz postawił filiżankę i wyjął z kieszeni zapisany arkusz papieru stemplowego. — Skargę na wroga mojego, zaklętego wroga.

— Na kogóż to?

— Na Iwana Nikiforowicza Dowgoczhuna.

Gdy sędzia to usłyszał, o mało z krzesła nie spadł.

— Co też pan mówi? — rzekł, klasnąwszy w dłonie — Iwanie Iwanowiczu! czy to pan aby?

— Sam pan widzisz, że ja.

— Niech pana Bóg ma w swej opiece oraz wszyscy święci! Pan, Iwanie Iwanowiczu, zostałeś wrogiem Iwana Nikiforowicza? Czy to aby pańskie usta mówią? Niech pan powtórzy! Czy aby nie schował się ktoś za pańskiemi plecami i nie mówi miast pana?

— Cóż w tem nieprawdopodobnego? — Patrzeć na niego nie mogę: wyrządził mi krzywdę śmiertelną, znieważył mój honor.

— Trójco przenajświętsza! Jakże mi teraz przekonać matulę? Toć ona starowinka, codzień, jak się tylko z siostrą pokłócimy, mawiać zwykła: „Wy, dziateczki, jak te psy z sobą żyjecie. Wzięlibyście przykład z Iwana Iwanowicza i Iwana Nikiforowicza: to mi przyjacie-

le! to mi druhy! to mi dopiero zacni ludzie! — Masz tobie przyjaciół! Niechże pan opowie, co się stało? dlaczego?

— Jest to sprawa delikatna, Demjanie Demjanowiczu! każ pan odczytać podanie. Weź pan od tej strony, tu będzie przyzwoiciej.

— Przeczytaj pan, Tarasie Tychonowiczu! — rzekł sędzia, zwracając się do sekretarza.

Taras Tychonowicz wziął podanie, wytarł nos w ten sposób, w jaki wycierają go wszyscy sekretarze sądów powiatowych t. j. za pomocą dwóch palców i zaczął czytać:

Od szlachcica mirhorodzkiego powiatu i właściciela dóbr

Iwana, syna Iwanowego, Pererepenka

PODANIE

a o czem — następują punkty:

1) Znany całemu światu ze swych szpetnych i abominację wzbudzających a wszelkie granice przechodzących bezprawnych czynów, szlachcic Iwan, syn Nikiforowy, Dowgoczhun, roku bieżącego 1810 lipca 7 dnia wyrządził mi krzywdę śmiertelną, jako personalnie honoru mego dotyczącą takoż równomiernie w poniżenie i konfuzję rangi mej i nazwiska. Szlachcic ów, będąc sam przy tem postawy gnuśnej, charakter posiada kłótliwy, pełen jest bluźnierstw i wyzwisk wszelakich."

Tu lektor zatrzymał się na chwilkę, by znów ulżyć nosowi, sędzia zaś z pietyzmem złożył ręce i tylko mruczał do siebie: — Co za ostre pióro! Boże sprawiedliwy! jak ten człowiek pisze!

Iwan Iwanowicz poprosił, by czytano dalej, więc Taras Tychonowicz ciągnął:

„Szlachcic ów Iwan, syn Nikiforowy, Dowgoczhun, kiedym przyszedł doń z propozycją przyja-

cielską, nazwał mię publicznie krzywdzącem i obelżywem dla honoru mego imieniem, a mianowicie „gąsiorem“, wówczas gdy wiadomo jest w całym powiecie mirhorodzkim, iż imieniem bydlęcia tego podłego ja bynajmniej nigdy się nie zwałem i na przyszłość zwać się nie mam zamiaru. Dowodem zaś szlacheckiego pochodzenia mego jest to, iż w księgach metrycznych, przechowywanych w parafji Trzech Świętych, zapisano zarówno dzień urodzin moich, jako też równocześnie i otrzymany przeze mnie chrzest święty. „Gąsior“ zaś, jak wiadomo wszystkim, którzy choć cokolwiek znają się na naukach, w księgach metrycznych zapisany być nie może, „gąsior“ bowiem nie jest to człowiek, a ptak, co już każdemu, nawet jeśli w seminarjum nie przebywał, znane być musi. Lecz ów szlachcic złowrogi, będąc co do tego wszystkiego należycie oświecony, nie dla innej przyczyny, jeno wyłącznie w celu wyrządzenia mi śmiertelnej dla rangi mojej i nazwiska krzywdy, owem wstrętnem słowem mnie zwymyślał.

2) Tenże nieprzystojny wielce a żbereźny szlachcic, targnął się prócz tego na rodową moją, otrzymaną po rodzicu mym, w stanie duchownym będącym, świętej pamięci Iwanie, synu Onisijewym, Pererepence własność, przez to, iż wbrew wszelkim prawom, przeniósł wprost naprzeciw ganku mego chlewisko gęsie, co nie z innym zamiarem uczynione było, jak tylko po to, by zadaną mi krzywdę jeszcze pogłębić, albowiem chlew ów stał dotąd w miejscu przyzwoitem i był jeszcze dość mocny. Lecz ohydny zamiar wyżwymienionego szlachcica na tem właśnie polegał, aby uczynić ze mnie świadka pasażów nieprzystojnych: wiadomo bowiem, że człek żaden nie pójdzie do chlewa, a tem bardziej do gęsiego, dla potrzeby przyzwoitej. Przy dokonaniu

tego tak karygodnego czynu, dwa słupy przednie zajęły własną moją ziemię, którą jeszcze za życia od rodzica mego, świętej pamięci Iwana, syna Onisijewego, Pererepenki otrzymałem, która to ziemia od stodoły się poczyna i po linji prostej aż do tego miejsca biegnie, gdzie baby garnki myją.

3) Wyżej opisany szlachcic, którego samo imię i nazwisko wstręt wszelaki wzbudza, w duszy swej złośliwy zamiar podpalenia mnie we własnym moim domu powziął. Czego oznaki niewątpliwe z poniższego jak na dłoni widać: po 1-sze, szlachcic ów złowrogi z pokojów swych nazbyt często wychodzić począł, czego dawniej nigdy, z powodu ospałości swojej i obleśnej otyłości ciała, nie przedsiębrał; po 2-gie, w ośmiorakach jego, przylegających do samego parkanu, ogradzającego własną mą, otrzymaną od rodzica, świętej pamięci Iwana, syna Onisijewego syna, Pererepenki, ziemię, codziennie a niezwykle długo światło płonie, co już jest jawnym dowodem tego; albowiem aż do czasu tego, z powodu skąpstwa owego kutwy, zawsze nie tylkoć świeca łojowa, lecz i kaganek nawet był zgaszony.

A wobec tego proszę: szlachcica owego, Iwana, syna Nikiforowego, Dowgoczhuna, jako winnego podpalenia, znieważenia mej rangi, imienia i nazwiska oraz rabunkowego targnięcia się na własność moją, najbardziej atoli z powodu podłego a niedopuszczalnego dołączenia do nazwiska mego nazwy „g ą s i o r“ — do zapłacenia sztrafu, pokrycia strat i kosztów sądowych zmusić, jego zaś samego, jako gwałtownika, w kajdany okuć, a okuwszy do więzienia powiatowego wtrącić i w myśl tego podania mego wyrok natychmiast a niezwłocznie sporządzić. Pisał i wypracował

szlachcic, właściciel ziemski mirhorodzki

Iwan, syn Iwanowy, Pererepenko.“

Po odczytaniu podania, sędzia zbliżył się do Iwana Iwanowicza, ujął go za guzik i przemówił doń temi mniej więcej słowy: „Co pan robisz, Iwanie Iwanowiczu? Bój się pan Boga! Daj pan pokój temu podaniu, niech je gęś kopnie! Bies niech mu się przyśni! Weźcie się lepiej z Iwanem Nikiforowiczem za rączki i pocałujcie się; a kupcie winka santoryńskiego albo nikopolskiego lub też poprostu zróbcie poncz i mnie zaproście! Wypijemy razem i puścimy wszystko w niepamięć!“

— Nie, Demjanie Demjanowiczu! Nie taka to sprawa, — odrzekł Iwan Iwanowicz z godnością, z którą mu zawsze tak było do twarzy; — nie taka to sprawa, by ją można było załatwić polubownie. Żegnam pana! Żegnajcie i wy, panowie; — ciągnął z takąż godnością, zwróciwszy się do wszystkich: — tuszę sobie, iż prośba moja będzie miała należyty skutek. — I odszedł, pozostawiwszy w osłupieniu cały urząd.

Sędzia siedział nie mówiąc ani słowa; sekretarz zażywał tabakę; kanceliści przewrócili rozbity czerep butelki, używanej miast kałamarza i sam sędzia w roztargnieniu rozmazywał palcem po stole atramentową kałużę.

— Cóż pan powie na to, Dorofieju Trofimowiczu? — rzekł sędzia po chwili milczenia, zwracając się do podsędka.

— A nic nie powiem — odrzekł podsędek.

— Takie to sprawy! — ciągnął sędzia. Nie zdążył jeszcze tego wyrzec, jak drzwi zatrzeszczały i przednia połowa Iwana Nikiforowicza wsadziła się do urzędu, reszta zaś pozostała jeszcze w poczekalni. Zjawienie się Iwana Nikiforowicza, i to w sądzie, wydało się czemś tak niezwykłem, że sędzia aż krzyknął, sekretarz przerwał czytanie, jeden z kancelistów w urzędowym półfraczku włożył pióro do ust, inny zaś połknął muchę. Nawet pełniący obowiązki dozorcy i feldjegra inwalida,

który dotąd spał pod drzwiami, drapiąc się pod brudną bluzą z naszywką na ramieniu, nawet ten inwalida rozdziawił gębę i nastąpił komuś na nogę.

— Kogóż to widzę! Co i jak? Jakże zdrowie pańskie, Iwanie Nikiforowiczu?

Lecz Iwan Nikiforowicz ledwie dychał, ugrzązł bowiem we drzwiach i nie mógł stąpić krokiem ani wprzód ani wtył. Próżno sędzia krzyczał do poczekalni, by ktokolwiek z obecnych tam wypchnął z tyłu Iwana Nikiforowicza do sali posiedzeń. W poczekalni obecna była tylko jakaś staruszka, która, nie bacząc na wszelkie wysiłki swych kościstych rąk, nic poradzić nie mogła. Wówczas jeden z kancelistów o mięsistych wargach, szeroki w barach, o grubym nosie i oczach, spoglądających pijacko zukosa, z dziurami na łokciach, zbliżył się ku przedniej połowie Iwana Nikiforowicza, złożył mu obie ręce w krzyż, jak dziecku, i mrugnął staremu inwalidzie, który oparł się kolanem w brzuch Iwana Nikiforowicza i, nie bacząc na żałosne jęki, wepchnął go do poczekalni. Wówczas odsunięto zasuwki i otworzono drugą połowę drzwi, przyczem kancelista i jego pomocnik inwalida, tak się zasapali, że oddechem ust swych rozpowszechnili mocny odór, od którego w całej izbie posiedzeń zapachniało szynkiem.

Iwan Nikiforowicz opadł na krzesło i prócz długotrwałych ochów nie był w stanie nic ze siebie wydobyć. Wreszcie słabym, zaledwie dosłyszalnym od zmęczenia głosem wyrzekł tylko „czy łaska?“ i wyjąwszy z kieszeni rożek, dodał: „Racz pan!“

— Bardzo się cieszę, że widzę pana — odrzekł sędzia, — lecz wciąż jeszcze nie mogę sobie zdać sprawy, co zmusiło pana pofatygować się tutaj i uszczęśliwić nas tak miłą a niespodzianą wizytą?

— Podanie... — wykrztusił Iwan Nikiforowicz.

— Podanie? Jakie?

— Ze skargą... — (tu dychawica sprawiła długą

pauzę) Och! ze skargą na łajdaka... Iwana Iwanowicza Pererepenkę.

— Boże święty! I pan z tem samem! Tacy przyjaciele! Pozew na tak cnotliwego człowieka!...

— To djabeł we własnej osobie! — odrzekł, sapiąc Iwan Nikiforowicz.

Sędzia przeżegnał się.

— Weź pan podanie, przeczytaj.

— Ha, trudno, przeczytaj pan, Tarasie Tychonowiczu — rzekł sędzia, zwracając się do sekretarza z miną niezadowoloną, przytem nos jego powąchał wargę górną, co zazwyczaj czynił tylko w przystępie wielkiego zadowolenia. Taka samowola nosa rozgniewała sędziego jeszcze bardziej: wyjął chustkę i zmiótł z górnej wargi całą tabakę, by w ten sposób ukarać go za bezczelność.

Sekretarz, uczyniwszy zwykły swój passus, który stosował zawsze nim czytać zaczął, to znaczy bez pomocy chustki do nosa, rozpoczął zwykłym swoim głosem w ten sposób:

PODANIE

składa szlachcic mirhorodzkiego powiatu
Iwan, syn Nikiforowy, Dowgoczhun

a o czem — następują punkty:

1) z powodu nienawistnej złości swojej i jawnej wrogości, mianujący się szlachcicem Iwan, syn Iwanowy, Pererepenko, wszelakie podłości, straty oraz inne gadzinowe a o lęk przyprawiające postępki czyni, i dnia wczorajszego po południu, jako zbój i rzezimieszek, z toporami, piłami, dłutami oraz innym instrumentem ślusarskim po nocy na podwórze moje się zakradł i do mieszczącego się na owem podwórzu własnego chlewiska mego, przyczem własnoręcznie a uwłaczająco je porąbał, do czego ze swej strony ja żadnego powodu ku tak zbrodniczemu a zbójeckiemu zarazem czynowi nie dawałem.

2) Tenże szlachcic Pererepenko, zamiar pozbawienia mnie życia własnego powziął i aż do dnia 7 zeszłego miesiąca zamiar ów w tajemnicy trzymając, przyszedł do mnie i począł, po przyjacielsku niby a przewrotnie, nagabywać mnie o strzelbę, co się w komorze mojej znajduje, a proponował mi za nią, z właściwem temu kutwie skąpstwem, rzeczy różne nic nie warte, jako to: świnię burą i dwie miarki owsa. Lecz, przeczuwając już wonczas zbrodniczy zamiar jego, wszelkiemi sposoby od zamiaru tego odwieźć go usiłowałem, lecz ów zbrodzień i szubrawiec Iwan, syn Iwanowy, Pererepenko, zwymyślał mnie w sposób chamski i od tego czasu nienawiść śmiertelną ku mnie żywi. A przy tem ów często wspominany szlachcic zwarjowany i zbój Iwan, syn Iwanowy, Pererepenko pochodzenia jest nader haniebnego: siostra jego była to całemu światu znana lafirynda i poszła za kompanją jegrów, która pięć lat temu w Mirhorodzie u nas kwaterowała, męża zaś swego do stanu chłopskiego zapisała; ojciec i matka jego byli to również ludzie arcynieprzystojni i oboje, wprost nie do zniesienia, pijaństwem się parali. Wspomniany zaś szlachcic i zbój Pererepenko bydlęcemi swemi a wysoce potępienia godnemi czynami całą swą rodzinę już prześcignął i pod pozorem rzekomej bogobojności najokropniejsze a demoralizujące wielce rzeczy tu wyczynia: postów nie przestrzega, w wigilję bowiem św. Filipa apostata ów kupił barana i na drugi dzień kazał go zarznąć dziewce swej nieślubnej, Hance, tłómacząc się jakoby mu onemi czasy łój barani na kagańce oraz świece był potrzebny.

Wobec czego proszę: owego szlachcica jako zbója, świętokradcę, rzezimieszka, na kradzieży i grabieży pojmanego, w kajdany okuć i do więzienia lub do lochu wnet odstawić, a tam już, wedle uzna-

nia, pozbawiwszy go uprzednio rang oraz klejnotu szlacheckiego, należycie barbarami wyłoić i na Syberję na katorgę zesłać, koszta zaś sądowe oraz straty kazać mu zapłacić i zgodnie z tem podaniem mojem decyzję powziąć.

Do podania tego rękę swą przyłożył
szlachcic powiatu mirhorodzkiego
Iwan, syn Nikiforowy, Dowgoczhun

Jak tylko sekretarz skończył czytanie, Iwan Nikiforowicz wziął czapkę i ukłonił się z zamiarem wyjścia.

— Dokąd to pan, Iwanie Nikiforowiczu? — mówił mu wślad sędzia. — Posiedź pan trochę! Wypij pan herbatki! Oryszko! czego tu stoisz, głupia dziewko, i mrugasz na kancelistów? Idź, przynieś herbaty!

Lecz Iwan Nikiforowicz, ze strachu, iż odszedł tak daleko od domu i wytrzymał tak niebezpieczną kwarantannę, zdążył już przecisnąć się przez drzwi, rzekłszy: Nie fatyguj się pan, ja z przyjemnością... i zamknął je za sobą. Cały urząd pozostał w osłupieniu...

Nie było rady. Obydwa podania zostały przyjęte i sprawa gotowa była przyjąć dość poważny obrót, gdy pewna nieprzewidziana okoliczność nadała jej jeszcze większej pikanterji. Kiedy sędzia wyszedł już z urzędu w towarzystwie podsędka i sekretarza, a kanceliści składali do worka zniesione przez interesantów kury, jaja, pajdy chleba, pierogi, knedle oraz inne specjały, w tym właśnie czasie bura świnia wpadła do pokoju i chwyciła, ku zdumieniu obecnych, nie pieróg lub pajdę chleba, lecz podanie Iwana Nikiforowicza, które leżało na końcu stołu ze zwieszonemi arkuszami. Schwyciwszy papier, bura maciora umknęła tak szybko, iż żaden z urzędników sądowych nie mógł jej dogonić, nie bacząc na rzucane za nią linijki i kałamarze.

To niezwykłe wydarzenie wywołało straszne zamieszanie, bo nawet odpisu nie zdążono jeszcze sporzą-

dzić z podania. Sędzia, sekretarz i podsędek, długo konferowali na temat tej niesłychanej wprost okoliczności; wreszcie postanowiono wysłać o tem papier do horodniczego, jako, że śledztwo w tym wypadku dotyczyło raczej policji miejskiej. Pismo za Nr. 389 wysłane zostało tegoż jeszcze dnia i z tego to właśnie powodu odbyła się dość ciekawa wymiana zdań, o której czytelnicy dowiedzieć się mogą z rozdziału następnego.

Rozdział V.

W KTÓRYM MOWA O NARADZIE DWOJGA POWAŻANYCH W MIRHORODZIE OSÓB.

Gdy tylko Iwan Iwanowicz załatwił wszystkie sprawy gospodarcze i udał się, jak zwykle, pod okap na spoczynek, to, ku niewypowiedzianemu zdziwieniu swemu, dostrzegł coś czerwieniejącego na furtce. Był to czerwony wyłóg na rękawie horodniczego. Rękaw ten narówni z kołnierzem, otrzymał politurę i na brzegach przemienił się w lakierowaną skórę. Iwan Iwanowicz pomyślał sobie: — Dobrze się stało, że Piotr Fiodorowicz wstąpił na pogawędkę, — lecz zdziwił się bardzo, spostrzegłszy, że horodniczy szedł niezwykle szybko i wymachiwał rękoma, co zdarzało mu się nader rzadko. Na mundurze horodniczego sterczy osiem guzików: dziewiąty, jak się urwał podczas procesji na poświęcenie cerkwi przed dwoma laty, tak go dotychczas dziesiętnicy odszukać nie mogą, aczkolwiek horodniczy podczas raportów codziennych, które mu składają przodownicy policji, zawsze pyta, czy nie znaleziono guzika? Te ośm guzików miał horodniczy nasadzone w ten sam sposób, w jaki baby sadzą bober: jeden w prawo, drugi w lewo. Lewą nogę przestrzelono mu podczas ostatniej kampanji i dlatego kulejąc odrzucał ją tak daleko w bok,

iż niweczył tem niemal cały trud nogi prawej. Im szybciej operował horodniczy swą piechotą, tem wolniej posuwała się naprzód i z tego to właśnie powodu, nim horodniczy dobrnął do okapu, Iwan Iwanowicz miał dość czasu na gubienie się w domysłach, dlaczego horodniczy tak szybko wymachiwał rękoma. Zajmowało go to tem więcej, iż sprawa miała pozory niezwykłej doniosłości, horodniczy bowiem miał przy sobie nawet szpadę.

— Witam pana, Piotrze Fiodorowiczu! — krzyknął Iwan Iwanowicz, który, jak już o tem była mowa, odznaczał się ciekawością i w żaden sposób nie mógł powstrzymać niecierpliwości na widok tego, jak horodniczy brał szturmem ganek, lecz ciągle jeszcze nie podnosił oczu do góry i przekomarzał się ze swą piechotą, która w żaden sposób nie mogła od jednego rozmachu wejść na schodek.

— Dobrego dnia życzę przyjacielowi drogiemu i łaskawcy, Iwanowi Iwanowiczowi! — odpowiedział horodniczy.

— Proszę uprzejmie spocząć. Pan, jak widzę, zmęczył się nieco, bo ranna noga pańska przeszkadza mu...

— Moja noga! — krzyknął horodniczy, miotając na Iwana Iwanowicza jedno z tych spojrzeń, jakie rzuca olbrzym na pigmeja, uczony pedant na nauczyciela tańców. Mówiąc to, wyciągnął swą nogę i tupnął o podłogę. Bohaterski ten gest kosztował go jednak drogo, gdyż cały tułów jego zachwiał się, nos zaś dziobnął balustradę; lecz mądry stróż porządku, by nic nie dać poznać po sobie, wyprostował się natychmiast i sięgnął do kieszeni, niby to po tabakierę. „Pozwolę sobie zameldować panu, przyjacielu drogi i łaskawco, Iwanie Iwanowiczu, iż robiłem w życiu i nie takie marsze. A tak, serjo mówię — robiłem. Naprzykład, podczas kampanji roku 1807... Ach, muszę panu opowiedzieć, jakim to manewrem przelazłem przez płot do pewnej milutkiej Nie-

meczki. Przy tych słowach horodniczy zmrużył jedno oko i zrobił szatańsko-przebiegły uśmieszek.

— Gdzież pan bywał dzisiaj? — spytał Iwan Iwanowicz, pragnąc przerwać horodniczemu i coprędzej naprowadzić go na wątek właściwego powodu wizyty; miał wielką ochotę spytać, z czem horodniczy przybywa, lecz subtelna znajomość form światowych przedstawiła mu całą nieprzyzwoitość takiego pytania, więc Iwan Iwanowicz zmuszony był wstrzymać się i czekać na rozwiązanie, gdy tymczasem serce tłukło mu z siłą niezwykłą.

— A pozwoli pan, że mu opowiem, gdzie byłem — odrzekł horodniczy. — Po pierwsze, pozwolę sobie zameldować, że pogodę mamy dziś prześliczną...

Na te słowa Iwan Iwanowicz o mało nie umarł.

— Lecz pozwoli pan — ciągnął horodniczy — przybyłem dziś do pana w pewnej ważnej sprawie... — Tu twarz horodniczego i cała postawa jego przybrały ten sam zatroskany wygląd, z jakim brał szturmem ganek. Iwan Iwanowicz odżył i dygotał jak w febrze, nie omieszkał przecież, zwyczajem swym, zapytać: — Jakaż to, proszę, ważna sprawa? i czy aby tak ważna?

— Otóż raczy pan wiedzieć: przedewszystkiem, ośmielę się zameldować panu, przyjacielu drogi i łaskawco, Iwanie Iwanowiczu, iż pan... z mojej strony ja nie, rozumie pan, ja nie, ale względy państwowe, względy państwowe wymagają tego: zakłócił pan porządek publiczny!

— Co też pan gadasz, Piotrze Fiodorowiczu! Nic nie rozumiem.

— Na Boga, Iwanie Iwanowiczu! jakże to pan nic nie rozumie? Własne pańskie bydle ściągnęło nader ważny papier rządowy, a pan twierdzi, że nic pan nie rozumie!

— Jakie bydlę?

— Za pozwoleniem, własna pańska bura świnia.

— A czyż to moja wina? Poco dozorca sądowy drzwi otwiera?

— Ależ, Iwanie Iwanowiczu! własne pańskie zwierzę: a przeto, pan jesteś winien!

— Dziękuję panu pokornie za to przyrównanie mnie do świni.

— A tego już nie mówiłem, Iwanie Iwanowiczu! Jak Boga kocham, nie mówiłem! Raczy pan z ręką na sercu pomyśleć: wiadomo panu, bez wątpienia, że w myśl życzenia władz, zakazane jest w mieście, a tem bardziej na ulicach miejskich, spacerować zwierzętom nieczystym. Niech się pan zgodzi, że jest to zakazane.

— Bóg raczy wiedzieć, co pan gada. Też mi wielka rzecz, że świnia wyszła na ulicę.

— Za pozwoleniem, ośmielę się zameldować, za pozwoleniem, za pozwoleniem, Iwanie Iwanowiczu! jest to rzeczą zgoła niemożliwą. Co robić? Władze sobie tego życzą, my musimy słuchać. Nie będę się spierał, wyłażą nieraz na ulicę i nawet na rynek kury i gęsi, proszę o tem pamiętać, kury i gęsi; lecz co do świń i kozłów — wydałem jeszcze w zeszłym roku rozporządzenie, by nie puszczać ich na place publiczne, które to rozporządzenie kazałem wówczas przeczytać ustnie na zebraniu, wobec całej ludności.

— Nie, Piotrze Fiodorowiczu, nie widzę w tem nic innego, jak to tylko, że pan wszelkiemi sposoby stara się mnie skrzywdzić.

— O, tego już nie może pan powiedzieć, przyjacielu drogi i łaskawco, abym starał się skrzywdzić pana. Przypomnij pan sobie: nie powiedziałem panu ani słowa zeszłego roku, kiedyś pan wyciągnął dach o cały arszyn wyżej ponad miarę przepisaną. Wręcz przeciwnie, udawałem, że wcale tego nie widzę. Wierzaj mi pan, przyjacielu drogi, że i teraz jabym wcale nie tego... lecz obowiązkiem moim, słowem, obowiązek mój wy-

maga bym przestrzegał czystości... Pomyśl pan sam: nagle, na pryncypalnej ulicy...

— No, dobre są te wasze pryncypalne ulice! Toć tam każda baba zwykła wyrzucać to, co niepotrzebne.

— Pozwoli pan, Iwanie Iwanowiczu, zameldować, iż sam pan mnie krzywdzisz! Prawda, zdarza się to czasem, lecz przeważnie tylko gdzieś pod płotem, pod stodołą lub koło komory; ale żeby mi na pryncypalną ulicę, na rynek, wpakowała się utytłana świnia, to... to coś takiego...

— Cóż takiego, Piotrze Fiodorowiczu? Wszakże świnia — to stworzenie boskie!

— Zgoda! Cały świat wie o tem, żeś pan człek uczony, że znasz się pan na nauce i na różnych tam innych rzeczach. Naturalnie, ja się żadnych nauk nie uczyłem: sztuki pisania zacząłem się uczyć w trzydziestym roku mego życia. Pochodzę przecież, jak panu wiadomo, z szeregowych...

— Hm, — rzekł Iwan Iwanowicz.

— A tak — ciągnął horodniczy — w roku 1805 byłem w 42 pułku strzelców w 4-ej kompanji porucznikiem. Dowódcą kompanji naszej był, musi pan wiedzieć, kapitan Jeremiejew. — Przy tych słowach horodniczy zapuścił swe palce w tabakierę, którą Iwan Iwanowicz trzymał otwartą i miętosił tabakę.

Iwan Iwanowicz odchrząknął „Hm!"

— Lecz obowiązkiem moim — ciągnął horodniczy, — jest stosować się do życzeń władzy. Czy wiadomo panu, Iwanie Iwanowiczu, iż winny porwania z sądu papieru urzędowego podlega, narówni z wszelkim innym przestępcą, sądom kryminalnym?

— Ależ to mowa o ludziach: naprzykład, gdyby pan skradł taki papier; lecz świnia — to zwierzę, stworzenie boskie.

— Wszystko to niby tak, lecz prawo wyraźnie mówi: „winny porwania..." Proszę pana wsłuchać się uważnie:

winny! Niema tu bliższego określenia ani rodzaju, ani płci, ani stanu, a przeto: zwierzę może być winne. Jak tam wola pańska, ale zwierzę, nim zapadnie wyrok skazujący je na karę, musi być odstawione do policji, jako zakłócające porządek.

— Nie, Piotrze Fiodorowiczu! — odrzekł mu z zimnym spokojem Iwan Iwanowicz — tego nie będzie.

— Jak pan chce, tylko ja muszę działać zgodnie z rozporządzeniem władz.

— Cóż to, chcesz mnie pan nastraszyć? Zapewne chcesz pan przysłać po nią żołnierza bez ręki? Każę babie dworskiej pogrzebaczem go przepędzić: przetrąci mu ona także tę ostatnią łapę!

— Nie śmiem spierać się z panem. W takim razie, jeśli już pan nie chce odstawić świni na policję, niech pan ją zużyje wedle potrzeb swoich: zarżnij ją pan, jeśli wola, na Boże Narodzenie a narób pan z niej szynek, albo inaczej ją pan zjedz. Przy sposobności bardzobym pana prosił, jeśli będziesz pan kiełbaski robił, niech mi pan przyśle parkę z tych, które Hanka tak misternie sporządzać potrafi, z tych ze świńskiej juchy i sadła. Moja Agrafiona Torofinowna bardzo je lubi.

— Kiełbasy, proszę bardzo, przyślę panu.

— Bardzo będę panu wdzięczny, przyjacielu drogi i łaskawco. A teraz pozwoli pan powiedzieć sobie jeszcze jedno słówko. Otóż, mam zlecenie od sędziego, zarówno jak i od wszystkich naszych znajomych, że tak powiem, pogodzić pana z przyjacielem pańskim Iwanem Nikiforowiczem.

— Co? z tym łotrem?! Ja mam się godzić z tym gburem? Nigdy! Nie będzie tego, nie będzie! — Iwan Iwanowicz był w usposobieniu niesłychanie stanowczem.

— Jak pan uważa — odrzekł horodniczy, częstując obydwa swe nozdrza tabaką. — Nie śmiem panu do-

radzać: a jednak, pozwoli pan zameldować: otoście teraz panowie w waśni, a jak się pogodzicie...

Lecz Iwan Iwanowicz zaczął prawić o łowieniu przepióreczek, co zazwyczaj miało miejsce, gdy chciał sprowadzić rozmowę na inne tory.

Tak więc horodniczy, nic nie wskórawszy, musiał udać się do domu.

Rozdział VI.

Z KTÓREGO CZYTELNIK Z ŁATWOŚCIĄ MOŻE SIĘ DOWIEDZIEĆ O WSZYSTKIEM, CO SIĘ W NIEM ZNAJDUJE.

Aczkolwiek w sądzie wszelkiemi sposoby starano się utaić sprawę, lecz następnego już dnia cały Mirhorod wiedział, że świnia Iwana Iwanowicza porwała podanie Iwana Nikiforowicza. Sam horodniczy pierwszy wszystko wypaplał. Kiedy dano znać o tem Iwanowi Nikiforowiczowi, nic nie odpowiedział, spytał tylko: „A czy nie bura?

Lecz Agafja Fiedofiejewna, która była przy tem obecna, zaczęła znów dokuczać Iwanowi Nikiforowiczowi: „Cóż to, Iwanie Nikiforowiczu? Śmiać się z ciebie będą, jak z durnia, jeżeli puścisz to płazem! I jaki z ciebie wobec tego szlachcic? Gorszy byłbyś od baby, co sprzedaje pączki, które tak lubisz!“ I namówiła go szelma! Znalazła gdzieś człeczynę w wieku średnim, czarniawego, z plamami na całej twarzy, w ciemno-niebieskim z łatami na łokciach surducie — typowy kałamarz urzędowy! Buty smarował dziegciem, nosił po trzy pióra za uchem i przywiązany do guzika szpagatem słoiczek szklany zamiast kałamarza, zjadał po dziewięć pierogów naraz a dziesiąty pakował sobie do kieszeni — i na jednym arkuszu papieru stemplowego wypisywał

tyle wszelakich kruczków sądowych i oszczerstw, iż żaden urzędniczyna nie mógł tego galimatjasu przeczytać odrazu, lecz musiał przerywać kaszlem i kichaniem.

Nieszczególne to podobieństwo człowieka krzątało się, sapało, mozoliło, pisało, aż wreszcie sporządziło taki papier:

„Do mirhorodzkiego sądu powiatowego
od szlachcica
Iwana, Nikiforowego syna, Dowgoczhuna

Wskutek onego podania mojego, co ode mnie, szlachcica Iwana, Nikiforowego syna, Dowgoczhuna, ku temu być miało, obopólne ze szlachcicem Iwanem Iwanowym synem, Pererepenkiem, w czem i sam mirhorodzki sąd powiatowy niedbalstwa się dopuścił. I już sama ta bezczelna samowola burej świni, w tajemnicy zachowana będąc, i już do słuchu ludzi postronnych doszedłszy. Ponieważ owo niedopatrzenie a niedbalstwo, jako ze złej woli wynikające, sądowi bezsprzecznie podlega; albowiem świnia owa jest to bydle głupie a przeto tem bardziej do porwania zdolne. Z czego dobitnie wynika, iż często wspominana tu świnia nie inaczej jak przez samego przeciwnika naszego, mianującego się szlachcicem Iwanem Iwanowym synem Pererepenkiem, pojmanym na rozboju, targnięciu się na życie cudze oraz świętokradztwie, do tego naszczuta była. Lecz ów sąd mirhorodzki z właściwą mu hipokryzyją, potajemną swej osoby zgodę na to złożył, bez jakowej zgody owa świnia w żaden sposób do porwania papieru dopuszczona być nie mogła, jako, że powiatowy sąd mirhorodzki w służbę dostatecznie jest zaopatrzony; na dowód dość wymienić żołnierza jednego, po wsze czasy w sali posiedzeń przebywającego, który aczkolwiek jedno, tylko jedno oko i nieco popsowaną rękę posiada, lecz by wygo-

nić świnię a pałą ją rzetelnie zdzielić nader ma wystarczające kwalifikacyje. Z czego z całą pewnością wynika zmowa owego sądu mirhorodzkiego i bezsprzeczny żydowskich od tego zysków podział, obopólnie naradziwszy się wprzódy. Zaś ów wyżej wymieniony zbój i szlachcic Iwan, Iwanowy syn, Pererepenko, w załączeniu oszelmowany będąc stał się. Wobec czego sądowi powiatowemu ja, szlachcic Iwan, Nikiforowy syn, Dowgoczhun do należytej a powszechnej wiadomości podaję, że jeżeli od owej swini burej lub też od będącego z nią w zmowie szlachcica Pererepenka oznaczone tu podanie ściągnięte nie będzie i jeżeli wyrok wedle sprawiedliwości a na korzyść moją nie zapadnie: to ja, szlachcic Iwan, Nikiforowy syn, Dowgoczhun, o takowej sądu owego zmowie i niedbalstwie karygodnem do Izby skargę podam z należytem według przepisów przeniesiem sprawy.

Szlachcic mirhorodzkiego powiatu

Iwan, Nikiforowy syn, Dowgoczhun.

Podanie to odniosło skutek. Sędzia, jak wszyscy dobrzy ludzie, był to człowiek nieco tchórzliwy. Zwrócił się więc do sekretarza. Lecz sekretarz puścił przez wargi gęste „hm“ i zrobił tę obojętną a djablo-dwuznaczną minę, jaką przybiera sam Lucyper w chwili, gdy widzi czołgającą się u nóg swych ofiarę. Jedno tylko pozostało: pogodzić dwóch przyjaciół. Lecz jak się zabrać do tego, skoro wszelkie próby pozostały dotąd bez skutku? Aliści raz jeszcze odważono się na próbę: lecz Iwan Iwanowicz obwieścił z miejsca, że nie życzy sobie tego i nawet bardzo się rozsierdził. Iwan Nikiforowicz, miast odpowiedzi, odwrócił się plecami — i bodajby słowo powiedział! Wówczas proces potoczył się z tą niesłychaną szybkością, z której słyną zazwyczaj trybunały. Papier zaopatrzono numerem, wszyto do teki, podpisano,

wszystko to w ciągu jednego dnia! — i złożono sprawę w szafie, gdzie też leżała sobie, leżała, leżała, rok, drugi i trzeci. Moc narzeczonych zdążyło już wyjść za mąż; w Mirhorodzie przebito nową ulicę; sędzia stracił jeden ząb trzonowy i dwa boczne; na podwórzu Iwana Iwanowicza uwijało się więcej bachorów niż przedtem (i skąd się to-to brało, Bóg tylko raczy wiedzieć); Iwan Nikiforowicz, na złość Iwanowi Iwanowiczowi, wybudował nowe chlewisko gęsie, coprawda nieco dalej niż przedtem i zabudował się zupełnie od Iwana Iwanowicza, tak że zacni ci ludzie nigdy prawie nie spotykali się twarzą w twarz — a sprawa wciąż leżała w porządku arcywzorowym, w szafie, która stała się aż marmurowa od plam atramentowych.

Tymczasem jednak stała się rzecz niezwykle doniosła dla całego Mirhorodu. Horodniczy urządzał asambleję! Skąd wezmę farb i pędzli, by odmalować rozmaitość zjazdu i ucztę wspaniałą? Proszę wziąć zegarek, otworzyć kopertę i zajrzeć, co się tam dzieje! Bigos okropny, nieprawdaż? Proszę więc wyobrazić sobie teraz, że tyleż prawie kół, jeśli nie więcej, stało w pośrodku podwórza horodniczego. Jakich tam bryk i powozów nie było! Jedna — o szerokim tyle a przodku wąziutkim; druga — tył ma wąziutki a przodek szeroki. Jedna to bryka i powóz zarazem; landara jakaś podobna była do olbrzymiej kopy siana lub do otyłej kupcowej; inna znów — do kudłatego Żyda lub do szkieletu, niezupełnie jeszcze odartego ze skóry; jeszcze inna z profilu — kompletna fajka z cybuchem; pewien zaś wehikuł wogóle nie był do niczego podobny, przedstawiał bowiem jakiś twór dziwny, absolutnie szpetny i niezwykle fantastyczny. Z pośród tego chaosu kół i kozłów wznosiło się coś w rodzaju karety z oknem pokojowem, pokrzyżowanem grubemi listwami. Stangreci w szarych sukmanach, świtkach i szaraczkach, w czapach baranich i w kaszkietach różnego kalibru,

z fajkami w ręku, oprowadzali po podwórzu odprzęgnięte konie.

Co za asambleję wydał horodniczy! Za pozwoleniem, wyliczę państwu wszystkich, którzy byli tam obecni. Taras Tarasowicz, Jewpł Akinfowicz, Jewtichij Jewtichjewicz, Iwan Iwanowicz — nie ten Iwan Iwanowicz, a inny, Sawwa Gawryłowicz, nasz Iwan Iwanowicz, Jelewtierij Jelewtierjewicz, Makar Nazarjewicz, Foma Grigorjewicz... Nie mogę dalej! sił mi zabrakło! Ręka cierpnie od pisania! — A ile było dam! smagłych i bladolicych, długich i krótkich, tęgich, jak Iwan Nikiforowicz i tak cienkich, że zdawało się iż każdej chwili możnaby je schować do pochwy od szpady horodniczego. Ile czepców! ile sukien! czerwonych, żółtych, kawowych, zielonych, niebieskich, nowych, przenicowanych, przerobionych — ile chustek, wstążek, ridikiulów! Żegnajcie, oczy me biedne! Na nic już się nie zdacie po tem widowisku! A jaki długi stół rozciągnięto! A jak się wszystko rozgadało, jaki rwetes podniosło! Co wobec tego znaczy młyn wraz ze wszystkiemi żarnami, kołami, przekładnią, tłoczkami! Nie mógłbym powiedzieć z całą dokładnością, o czem właściwie rozmawiano, przypuszczać jednak należy, że o wielu rzeczach przyjemnych a pożytecznych, jako to: o pogodzie, o pieskach, o pszenicy, o czepeczkach, o ogierach. Wreszcie Iwan Iwanowicz — nie ten Iwan Iwanowicz, a inny, co jest na jedno oko ślepy, wyrzekł: „Dziwi mnie bardzo, że prawe oko moje (jednooki Iwan Iwanowicz zawsze zwykł o sobie mówić ironicznie) nie dostrzega Iwana Nikiforowicza pana Dowgoczhuna".

— Nie chciał przyjść — rzekł horodniczy.

— Jakże to tak?

— Oto już, chwalić Boga, dwa lata minęło od czasu, jak się pokłócili z sobą, to znaczy Iwan Iwanowicz z Iwanem Nikiforowiczem, i gdzie jest jeden, tam drugi za nic na świecie nie pójdzie.

— Co pan mówi! — Co mówiąc, jednooki Iwan Iwanowicz wzniósł oczy do góry i złożył ręce pobożnie „Cóż teraz począć, skoro już ludzie o dobrych oczach nie żyją w pokoju, jak więc ja mam żyć w zgodzie z mojem ślepem okiem?“

Na te słowa wszyscy wybuchnęli śmiechem całą gębą. Wszyscy bowiem lubili bardzo jednookiego Iwana Iwanowicza za to, że umiał puszczać dowcipy zupełnie w dzisiejszym guście. Sam nawet wysoki, chuderlawy gość w surducie flanelowym, z plastrem na nosie, co dotychczas siedział w kącie i ani razu nie drgnął na twarzy, nawet wówczas, gdy mu do nosa mucha wpadła — nawet ten jegomość wstał z miejsca i przysunął się bliżej tłumu, który obstąpił jednookiego Iwana Iwanowicza.

— Posłuchajcie państwo, — rzekł jednooki Iwan Iwanowicz, widząc że otoczyło go porządne towarzystwo — posłuchajcie państwo: zamiast tego, by się przyglądać memu ślepemu oku, ot, weźmy lepiej, powiadam, i pogódźmy obu naszych przyjaciół! Obecnie Iwan Iwanowicz rozmawia z dziewczętami — poślijmy cichcem po Iwana Nikiforowicza a potem zepchnijmy ich do kupy. —

Wszyscy jednomyślnie przyjęli propozycję Iwana Iwanowicza i postanowiono posłać natychmiast po Iwana Nikiforowicza do domu kogoś, ktoby za wszelką cenę uprosił go przyjechać do horodniczego na obiad. Lecz oto poważna kwestja: kto ma wykonać tak ważne polecenie? wprawiła wszystkich w zakłopotanie. Spierano się długo, kto posiada więcej zdolności oraz sprytu dyplomatycznego, aż wreszcie uchwalono jednomyślnie poruczyć wykonanie tej misji Antonowi Prokofjewiczowi Hołopuzowi.

Lecz wprzódy należy zapoznać nieco czytelnika z tą nader ciekawą osobą. Anton Prokofjewicz był to człowiek doskonałej cnoty, w całem słowa tego znaczeniu:

da mu kto z szanownych obywateli Mirhorodu szalik na szyję lub spodnie — podziękuje; prztyknie go kto lekko w nos — i temu podziękuje. Jeśli go kto pytał: „Dlaczego masz pan, Antonie Prokofjewiczu, surdut bronzowy, rękawy zaś błękitne?“ to zawsze zwykł odpowiadać na to: „A pan takiego nawet nie masz! Poczekaj pan, wyblaknie trochę a cały będzie jednakowy!“ No i w rzeczy samej: błękitne sukno pod wpływem słońca poczęło zmieniać się stopniowo na bronzowe i obecnie w zupełności już pasuje do koloru surduta. Lecz co jest naprawdę dziwne, to to, iż Anton Prokofjewicz ma zwyczaj noszenia sukiennego kostjumu latem, nankinowego zaś w zimie. Anton Prokofjewicz nie posiada własnego domu. Miał go kiedyś na krańcu miasta, lecz sprzedał a za gotówkę nabył trójkę gniadych koni i niewielką bryczkę, w której jeździł z wizytami do obywateli ziemskich. A że z końmi było dużo kramu a prócz tego trzeba było mieć pieniądze na owies, to Anton Prokofjewicz wymienił je na skrzypce i dziewuchę dworską, wziąwszy do tego jeszcze dwudziestopięciorublowy papierek. Następnie skrzypce Anton Prokofjewicz spieniężył, dziewuchę zaś wymienił na safjanowy złotem dziergany kiset i obecnie jest w posiadaniu kisetu takiego, jakiego nie znajdzie u nikogo w całem mieście. Kosztem tej przyjemności nie może coprawda jeździć do majątków okolicznych a zmuszony jest przebywać w mieście i nocować w różnych domach, zwłaszcza u tych z pośród szlachty, którzy znajdywali przyjemność w przytykaniu po nosie. Anton Prokofjewicz lubi dobrze jadać, świetnie gra w durnia i w młynek. Posłuszeństwo było zawsze jego żywiołem, i dlatego, wziąwszy czapkę oraz laskę, udał się natychmiast w drogę.

Lecz po drodze począł rozmyślać, w jaki sposób zmusić Iwana Nikiforowicza do przyjścia na asamblejȩ. Nieco twardy charakter tego, zresztą ze wszech miar zacnego, człeka sprawiał, że przedsięwzięcie jego było

niemal że niemożliwością. Bo i jakże, doprawdy, ma się taki człowiek zdecydować na pójście, skoro samo tylko wstanie z łóżka kosztowało go trudu nielada? Lecz przypuśćmy nawet, że wstanie — jakże mu się udać tam, gdzie — o czem już wie niewątpliwie — przebywa zawzięty wróg jego? Im bardziej obmyślał całą sprawę Anton Prokofjewicz, tem więcej wynajdywał przeszkód. Dzień był duszny; słońce prażyło; pot lał się zeń strumieniami. Anton Prokofjewicz, nie bacząc na to, że go w nos prztykano, był człowiekiem dosyć chytrym i obrotnym. W wymianie tylko niezbyt był szczęśliwy. Wiedział on doskonale, kiedy udać należy głuptaska i nieraz potrafił dać sobie radę w takiej sytuacji, z której często mądry nawet nie umiałby się wykręcić.

Podczas gdy wynalazczy umysł jego wymyślał środki, w jaki sposób skaptować Iwana Nikiforowicza i gdy gotów był już iść odważnie na wszystko, pewna nieoczekiwana okoliczność zbiła go nieco z tropu. Nie zawadzi przy tej sposobności powiadomić czytelnika, że Anton Prokofjewicz posiadał między innemi jedną parę spodni o tak dziwnej właściwości, że ilekroć je nakładał, to zawsze psy kąsały go za łydki. Jak na złość dnia tego włożył te właśnie spodnie i dlatego, ledwie zaczął snuć wątek medytacji, jak okropne szczekanie poraziło słuch jego. Anton Prokofjewicz zaczął krzyczeć tak głośno (głośniej od niego nikt tu krzyczeć nie potrafił), że nie tylko znana już nam babina i posiadacz niepomiernego surduta wybiegli mu na spotkanie, lecz nawet bachory z podwórza Iwana Iwanowicza pobiegły ku niemu, i aczkolwiek psy zdążyły ukąsić go w jedną tylko nogę, aliści wpłynęło to bardzo niekorzystnie na stan ducha jego, tak że nawet z pewnem onieśmieleniem zbliżał się teraz do ganku.

Rozdział VII
i ostatni

— A, witam! Cóż to pan psy drażni? — rzekł Iwan Nikiforowicz, ujrzawszy Antona Prokofjewicza, bo z Antonem Prokofjewiczem nikt inaczej nie rozmawiał, jak tylko żartem.

— A bodajby pozdychały! Kto je drażni? — odparł mu Anton Prokofjewicz.

— Kłamie pan.

— Jak Boga kocham, nie kłamię! Prosił pana Iwan Fiodorowicz na obiad.

— Hm!

— Jak Boga kocham! tak prosił, że wprost powiedzieć nie mogę. — Cóż to, powiada, Iwan Nikiforowicz boczy się na mnie, starego swego przyjaciela, że nigdy nie wstąpi na pogawędkę, nie posiedzi troszeczkę.

Iwan Nikiforowicz pogłaskał sobie podbródek.

— Jeżeli, powiada, Iwan Nikiforowicz i dziś nie przyjdzie, to nie wiem nawet, co pomyśleć: zapewne knuje coś przeciwko mnie! Zrób mi pan łaskę, Antonie Prokofjewiczu, wpłyń pan na Iwana Nikiforowicza! — No, więc, Iwanie Nikiforowiczu — chodźmy! Zebrało się tam teraz towarzystwo znakomite!

Iwan Nikiforowicz jął oglądać koguta, który, stojąc na ganku, darł się z całej siły.

— Gdybyś pan tylko wiedział, Iwanie Nikiforowiczu! — ciągnął gorliwy poseł — jakiego jesiotra, jakiego świeżego kawioru przysłano Iwanowi Fiodorowiczowi!

Na te słowa Iwan Nikiforowicz odwrócił głowę i począł wsłuchiwać się uważnie.

Dodało to posłowi animuszu. — Chodźmy prędzej, jest tam i Foma Grigorjewicz! Cóż więc pan? — dodał, widząc iż Iwan Nikiforowicz leży wciąż w tej samej pozycji. — Co? idziemy czy też nie idziemy?

— Nie chcę.

To „nie chcę“ ubodło Antona Prokofjewicza: sądził już, że tak wymowna perswazja jego w zupełności przekonała tego zacnego zresztą człowieka; ale zamiast tego usłyszał stanowcze „nie chcę“.

— Dlaczegóż to pan nie chce? — spytał prawie z dąsem, co okazywał nader rzadko, a zwłaszcza wówczas, gdy mu na głowę kładziono palący się papier, czem lubili się zabawiać horodniczy oraz sędzia.

Iwan Iwanowicz zażył tabaki.

— Jak tam pan chce, Iwanie Nikiforowiczu, ja bo nie wiem, co pana wstrzymuje.

— Poco mam iść? — wyrzekł wreszcie Iwan Nikiforowicz — będzie tam ten zbój. — Tak nazywał zwykle Iwana Iwanowicza... Boże sprawiedliwy! A przecież niedawno jeszcze...

— Jak Boga kocham — nie będzie go tam! Jak mi Bóg miły, nie będzie! Niechaj we mnie na tem samem miejscu piorun strzeli! — rzekł Anton Prokofjewicz, przyzwyczajony do przysięgania na wszystkie świętości dziesięć razy na godzinę. — A więc chodźmy, Iwanie Nikiforowiczu!

— Ależ pan kłamie, Antonie Prokofjewiczu, on tam jest!

— Jak Boga kocham, jak Boga kocham, niema go tam! Bodajbym z tego miejsca nie zszedł, jeśli jest tam! Bo i sam pan pomyśl, z jakiej racji mam kłamać? A niech mi ręce i nogi pousychają!... Co, i teraz jeszcze pan nie wierzy? A bodajbym zdechł tutaj przed panem! A bodaj ani ojciec ani matka moja ani ja sam bodajbym nie zaznał królestwa bożego! Jeszcze mi pan nie wierzy?

Wobec takich zapewnień Iwan Nikiforowicz uspokoił się zupełnie i kazał swemu kamerdynerowi w niepomiernym surducie przynieść szarawary i nankinowy kazakin.

Sądzę, że opis tego, w jaki sposób Iwan Nikiforowicz

nakładał szarawary, jak mu zawiązywano krawat i wreszcie naciągnięto kazakin, który, pod lewym rękawem pękł, będzie zgoła zbyteczny. Dość, że przez cały czas trwania tej czynności Iwan Nikiforowicz zachowywał przyzwoity spokój i nie odpowiadał ani słowem na propozycje Antona Prokofjewicza, że zamieniłby na cośkolwiek słynny swój kiset turecki.

Tymczasem zaś zebrani oczekiwali z niecierpliwością chwili, kiedy zjawi się Iwan Nikiforowicz i nastanie upragnione przez wszystkich pogodzenie się tych zacnych i szanownych ludzi. Wielu było prawie pewnych, że Iwan Nikiforowicz nie przyjdzie. Horodniczy zakładał się z jednookim Iwanem Iwanowiczem, że nie przyjdzie; lecz zakład nie doszedł do skutku jedynie dlatego, że jednooki Iwan Iwanowicz żądał, by horodniczy postawił jako fant postrzeloną swą nogę, on zaś postawi ślepe swoje oko, o co horodniczy bardzo się obraził, całe zaś towarzystwo śmiało się cichcem. Nikt jeszcze nie zasiadał do stołu, chociaż było już dawno po pierwszej — pora, kiedy w Mirhorodzie, nawet w wypadkach uroczystych, dawno już siedzi się przy obiedzie.

Zaledwie Anton Prokofjewicz ukazał się we drzwiach, jak w tej samej chwili został otoczony przez wszystkich. Anton Prokofjewicz na wszelkie zapytania krzyknął tylko: „Nie będzie!“ Zaledwie zdążył to powiedzieć i już cały grad wymówek, wyzwisk a może i prztyczków gotów był posypać się na jego głowę za niefortunne poselstwo, gdy nagle drzwi się otwarły i — wszedł Iwan Nikiforowicz.

Gdyby zjawił się sam szatan lub nieboszczyk, to napewno nie wywołałby takiego zdumienia w całem towarzystwie, jak Iwan Nikiforowicz niespodzianem swem przybyciem. A Anton Prokofjewicz aż się trząsł ze śmiechu, chwyciwszy się za boki, z radości że mu się tak udało zażartować z całej tej zacnej kompanji.

Jak tam było to było, ale nikt nie mógł uwierzyć,

by Iwan Nikiforowicz w tak krótkim czasie zdążył ubrać się, jak przystoi szlachcicowi. Iwana Iwanowicza nie było wówczas w pokoju: wyszedł w jakiejś potrzebie. Ocknąwszy się ze zdumienia, cała publiczność zainteresowała się skwapliwie zdrowiem Iwana Nikiforowicza i dała wyraz swemu zadowoleniu, że tak rozrósł się wszerz. Iwan Nikiforowicz całował się ze wszystkimi i mówił: „Bardzom zobowiązany".

Tymczasem woń barszczu przeleciała przez pokój i połechtała przyjemnie nozdrza zgłodniałych gości. Wszyscy runęli do jadalni. Czeredka pań, wielomównych i milczących, chudych i tłustych, pociągnęła przodem — i długi stół zamigotał rozmaitemi barwami. Nie będę tu opisywał dań, jakie podano do stołu. Nic nie wspomnę ani o sernikach w śmietanie, ani o wątróbce, którą podano do barszczu, ani o indyku ze śliwkami i rodzynkami, ani o tem daniu, co tak przypominało buty namoczone w kwasie, ani o tym sosie, co jest pieśnią łabędzią starodawnego kuchmistrza, o sosie, który ku uciesze i przerażeniu pań podawano w płomieniach gorejącego spirytusu. Nie będę mówił o tych daniach, wolę bowiem raczej spożywać je, niźli rozpowiadać o nich szeroko w rozmowach.

Iwanowi Iwanowiczowi bardzo przypadła do gustu rybka z chrzanem. Ze szczególnem nabożeństwem zajął się tem pożytecznem a tak pożywnem ćwiczeniem. Wybierając najdelikatniejsze ości rybie, kładł je na talerz i nagle, jakoś niechcący, spojrzał naprzeciw siebie: Twórco przenajświętszy! a to dziw! Naprzeciw niego siedział Iwan Nikiforowicz.

W tej samej chwili spojrzał również i Iwan Nikiforowicz. Nie!... nie mogę!... Dajcie mi inne pióro! Pióro moje jest za słabe, za martwe, zbyt cienko rozszczepione, aby ten obraz opisać! Zdumione ich twarze, stały się jakby skamieniałe. Każdy z nich ujrzał twarz dawno znaną, do której, zdawało się, mimowoli gotów był się

zbliżyć, jak do druha niespodziewanego, z podniesionym rożkiem od tabaki i ze słowami: „Racz pan“ lub też: „Czy śmiem prosić, by pan raczył“; zarazem jednak ta sama twarz była tak okropna, jak straszliwe znamię losu! Pot spływał strumieniami z Iwana Iwanowicza i Iwana Nikiforowicza.

Obecni, wszyscy ilu ich tam było przy stole, oniemieli od natężonej uwagi i nie odrywali oczu od serdecznych ongiś przyjaciół. Panie, które do tej chwili zajęte były dość ciekawą rozmową o przyrządzaniu kołdunów, nagle przerwały dyskurs. Wszystko umilkło! Był to obraz godny pędzla wielkiego mistrza.

Nareszcie Iwan Iwanowicz wyjął chusteczkę i zaczął wycierać nos, Iwan zaś Nikiforowicz obejrzał się wkoło i zatrzymał wzrok swój na otwartych drzwiach. Horodniczy dostrzegł wnet ten ruch i kazał drzwi zamknąć szczelniej. Wówczas obydwaj przyjaciele zabrali się do jadła i ani razu już nie spojrzeli na siebie.

Zaraz po obiedzie obydwaj ex-przyjaciele porwali się z miejsc i zaczęli szukać czapek, by dać nura. Wówczas horodniczy mrugnął, a Iwan Iwanowicz — nie ten Iwan Iwanowicz, a inny, jednooki — stanął za plecami Iwana Nikiforowicza, horodniczy zaś zaszedł tyły Iwanowi Iwanowiczowi i obaj zaczęli popychać ich ku sobie, z mocnem postanowieniem, że dopóty ich nie wypuszczą, póki sobie rąk nie podadzą. Iwan Iwanowicz o ślepem oku popchnął Iwana Nikiforowiczą, acz nieco naukos, to jednak dość jeszcze celnie ku temu miejscu gdzie stał Iwan Iwanowicz; lecz horodniczy wykonał manewr swój zanadto na bok, gdyż w żaden sposób nie mógł się uporać ze swoją swawolną piechotą, nie poddającą się tym razem żadnym rozkazom i jak na złość brykającą niesłychanie daleko i zupełnie w odwrotnym kierunku, (możliwe, że z powodu niezliczonej ilości nalewek, które stały na stole). Doszło wreszcie do tego, że Iwan Iwanowicz upadł na damę w czerwonej sukni,

która przez ciekawość wysunęła się na sam środek. Nie zapowiadało to nic dobrego. Aliści sędzia, by poprawić nieco sytuację, zajął miejsce horodniczego i wciągnąwszy nosem z górnej wargi całą tabakę, odepchnął Iwana Iwanowicza w drugą stronę. Jest to przyjęty w Mirhorodzie sposób godzenia powaśnionych: przypomina nieco grę w piłkę. Z chwilą, gdy sędzia pchnął Iwana Iwanowicza, jednooki Iwan Iwanowicz oparł się całą siłą i pchnął Iwana Nikiforowicza, z którego pot kapał ciurkiem, niczem deszczówka z dachu. Nie bacząc na to, że obydwaj przyjaciele stawiali silny opór, udało się jednak zepchnąć ich do kupy, obie bowiem strony biorące udział w kampanji, otrzymały znaczne posiłki z pośród pozostałych gości.

Wówczas otoczono ich ze wszech stron ciasnym pierścieniem i nie wypuszczano dopóty, póki sami nie zdecydowali się podać sobie dłonie. — Na Boga, Iwanie Nikiforowiczu i Iwanie Iwanowiczu! Powiedzcież tak z ręką na sercu: o coście się pokłócili? Czy nie o głupstwo? Nie wstyd wam wobec Boga i ludzi?

— Sam nie wiem — rzekł Iwan Nikiforowicz, sapiąc ze zmęczenia (widać było, że jest nie od tego, by się pogodzić) — sam nie wiem, com takiego uczynił Iwanowi Iwanowiczowi, że mi za to porąbał chlewisko i pragnął mojej zguby?

— Nie poczuwam się do winy, nie miałem żadnych złych zamiarów — bełkotał Iwan Iwanowicz, nie zwracając oczu w stronę Iwana Nikiforowicza. — Przysięgam wobec Boga i obecnej tu czcigodnej szlachty, że nie uczyniłem nic wrogowi memu. Za cóż więc mną poniewiera i wyrządza krzywdę randze mej i klejnotowi szlacheckiemu?

— Jakąż to krzywdę, Iwanie Iwanowiczu, wyrządziłem panu? — rzekł Iwan Nikiforowicz. Jeszcze jedna chwila wyjaśnień, a zastarzała nienawiść gotowa była

wygasnąć. Już Iwan Nikiforowicz sięgnął do kieszeni, by wydobyć rożek i rzec: „Racz pan."

— Czyż to nie krzywda — odrzekł mu Iwan Iwanowicz, nie podnosząc oczu: — kiedyś pan, panie szanowny, znieważył rangę mą i nazwisko takiem słowem, którego nie przystoi tu nawet wymienić?

— Pozwoli pan powiedzieć sobie po przyjacielsku, Iwanie Iwanowiczu! — (mówiąc to, Iwan Nikiforowicz dotknął palcem guzika Iwana Iwanowicza, co oznaczało całkowitą gotowość do zgody) — obraził się pan licho wie o co i o to, że nazwałem pana g ą s i o r e m...

Iwan Nikiforowicz połapał się nagle, że postąpił nierozważnie, wypowiedziawszy to słowo; lecz było już za późno: słowo się rzekło. Wszystko djabli wzięli! Jeżeli po wymówieniu tego słowa b e z ś w i a d k ó w, Iwan Iwanowicz stracił panowanie nad sobą i wpadł w taki gniew, w jakim niech Bóg na przyszłość nie dopuści widzieć człowieka — to cóż dopiero teraz, sądźcież sami, drodzy czytelnicy, cóż teraz, gdy zabójcze to słowo rzucone zostało w towarzystwie, wobec tylu dam, dla których Iwan Iwanowicz miał specjalne względy i zwykle zachowywał się przy nich szczególnie przyzwoicie! Gdyby Iwan Nikiforowicz postąpił inaczej, gdyby był powiedział bodaj p t a s z e k a nie g ą s i o r, możnaby to było jakoś naprawić. Ale teraz — wszystko przepadło!

Rzucił na Iwana Nikiforowicza spojrzenie, — i jakie jeszcze spojrzenie! Gdyby spojrzeniu temu nadano władzę wykonawczą, to starłoby napewno w proch Iwana Nikiforowicza. I oto człowiek ów, wzór łagodności, który żadnej ubogiej nie przepuścił, by jej o to i owo nie zapytać, ten człowiek wybiegł strasznie wściekły. Takie to okropne burze wywołują namiętności!

W ciągu całego miesiąca nie było słychać o Iwanie Iwanowiczu. Zamknął się w swoim domu. Tajemniczy kufer został otwarty, z kufra zostały wydobyte — co? dukaty! stare, dziadowe dukaty! I te oto dukaty powę-

drowały w zamorusane ręce gryzipiórków palestry. Sprawę przeniesiono do Izby.. I kiedy Iwan Iwanowicz otrzymał radosną wiadomość, że jutro sprawa jego się rozstrzygnie, wówczas dopiero wyjrzał na świat i postanowił wyjść z domu. Niestety! od tej chwili Izba zawiadamiała go codziennie, że sprawa zakończy się jutro — w ciągu lat dziesięciu.

Pięć lat temu przejeżdżałem przez miasto Mirhorod. Jechałem w kiepski czas. Była wówczas jesień, smętna i wilgotna jesień, błoto, mgła. Jakaś nienaturalna zieleniza — twór nudnych, nieustannych deszczów — pokrywała rzadziutką siatką pola i błonia, do których tak to przystało, jak łobuzerskie figle do staruszka, a róże — do starej baby. Duży wpływ wywierała na mnie wówczas pogoda: było mi tak nudno, jak nudną była ona. Lecz nie bacząc na to, gdym podjeżdżał już do Mirhorodu, poczułem, że mi serce bije mocniej. Boże, ileż to wspomnień! Dwanaście lat nie widziałem Mirhorodu. Zamieszkiwali tu w przyjaźni wzruszającej dwaj jedyni w swym rodzaju ludzie, dwaj jedyni przyjaciele. A iluż ludzi znakomitych już umarło! Sędzia Demjan Demjanowicz, był już wówczas nieboszczykiem; Iwan Iwanowicz, ten jednooki, także przeniósł się na tamten świat. Wjechałem na ulicę pryncypalną: wszędzie stały żerdzie z umocowanemi u góry wiechciami słomy i dokonywano tu jakichś pomiarów! Kilka chałup zburzono. Resztki płotów i parkanów sterczały żałośnie.

Dzień był wówczas świąteczny; kazałem zatrzymać brykę przy cerkwi i wszedłem tak cichutko, że nikt się nawet nie obejrzał. Prawda, nie miał kto: cerkiew była pusta, z wiernych nie było prawie nikogo; widać, iż najbardziej bogobojnych nawet odstraszyło błoto. Świece w tym chmurnym, raczej chorym dniu były jakoś dziwnie nieprzyjemne; ciemne kruchty pełne były smutku; wydłużone okna o okrągłych szybkach zalewały się

deszczowemi łzami. Odsunąłem się wgłąb kruchty i zwróciłem się do czcigodnego starca o posiwiałych włosach: — Pozwoli pan spytać, czy żyje jeszcze Iwan Nikiforowicz? — W tej właśnie chwili lampka oliwna buchnęła żywszym płomieniem przed ikoną i światło padło prosto w twarz mego sąsiada. Jakże się zdziwiłem, gdy przypatrując się baczniej dojrzałem znajome rysy! Był to sam Iwana Nikiforowicz! Lecz jakże się zmienił!

— Czyś pan zdrów, Iwanie Nikiforowiczu? Jak się pan postarzał!

— Tak, postarzałem się. Wracam z Połtawy, — odrzekł Iwan Nikiforowicz.

— Co też pan mówi! Jeździł pan do Połtawy w taką pluchę?

— Co robić! Procesuję się...

Westchnąłem mimowoli.

Iwan Nikiforowicz spostrzegł me westchnienie i rzekł: — Nie martw się pan: mam pewną wiadomość, że sprawa rozstrzygnie się w przyszłym tygodniu na moją korzyść.

Wzruszyłem ramionami i poszedłem dowiedzieć się czegośkolwiek o Iwanie Iwanowiczu.

— Iwan Iwanowicz jest tutaj — powiedział mi ktoś „na chórze".

Ujrzałem wówczas szczupłą postać. Czyżby to był Iwan Iwanowicz? Twarz miał pokrytą zmarszczkami, włosy zupełnie białe: lecz bekiesza pozostała wciąż taka sama! Po pierwszem przywitaniu Iwan Iwanowicz, zwróciwszy się do mnie z wesołym uśmiechem, rzekł mi: — Czy zakomunikować panu przyjemną nowinę?

— Jaką nowinę? — spytałem.

— Jutro nieodwołalnie rozstrzygnie się moja sprawa: Izba powiedziała, że napewno.

Westchnąłem jeszcze głębiej; czemprędzej zacząłem się żegnać — jechałem bowiem w bardzo pilnej sprawie — i wsiadłem do bryki.

Chude szkapiny, znane w Mirhorodzie pod mianem kurjerskich, poczłapały, wywołując kopytami swemi, grzęznącemi w szarej miazdze błota, przykry dla ucha dźwięk. Deszcz padał rzęsiście na Żyda, siedzącego na koźle i nakrytego rogóżką. Wilgoć przeszyła mnie na wylot. Smutna rogatka z budką, w której inwalida reperował szary swój mundur, wolno przepłynęła obok. I znów te same pola, miejscami rozkopane, czarne, miejscami zielonawe; mokre kawki i wrony, monotonny deszcz, łzawe bez prześwitu niebo...

Nudno na tym świecie, moi państwo!

BIBLJOTEKA HUMORU

Rozpisywać się na temat humoru, zachwalać dobroczynne skutki tej przedziwnej właściwości ducha ludzkiego, zachęcać bliźnich do czerpania pogody ze skarbnicy śmiechu, słowem reklamować to, co reklamy nie potrzebuje, gdyż jest przyrodzonem pożądaniem każdego serca ludzkiego? Dumni z godności swego człowieczeństwa, zastanówmy się, że tylko mową i śmiechem górujemy nad zwierzętami. Ten dany nam od Stwórcy przywilej ludzki jest skarbem naszym najcenniejszym, jest genjuszu człowieczego żywym i odwiecznym dokumentem.

BIBLJOTEKA HUMORU

będzie niejako archiwum, gromadzącem najcelniejsze dzieła humoru wszystkich czasów i narodów, będzie barwną i ciekawą encyklopedją utworów, których źródłem i ujściem był śmiech. Wszystko co powstało w literaturze z ducha dowcipu, satyry, groteski i ironji, komizmu, żartu, parodji, wszystko, co w dziejach piśmiennictwa powstało z owego specyficznego na świat i ludzi wejrzenia, któremu humor na imię, wszystko to znajdą czytelnicy „Bibljoteki Humoru“ w skondensowanych wyciągach, antologjach i opracowaniach. Każdy tomik „Bibljoteki Humoru“ poświęcony będzie bądź oddzielnemu pisarzowi (najznakomitsze wyjątki z dzieł humorystów polskich i obcych), bądź epoce lub zjawisku.

Tomiki „Bibljoteki Humoru“ ukazywać się będą co 2 tygodnie. Każda książeczka objętości 5—6 arkuszy druku, w barwnej okładce, stanowić będzie całość. — Redakcję wydawnictwa objął Juljan Tuwim.

Cena oddzielnego tomiku . . . . . zł. 1·—
w prenumeracie kwart. za 6 tomików . „ 5·—

SPIS TOMIKÓW

BIBLJOTEKA HUMORU

znajdujących się w druku lub przygotowaniu

Bon mot. Dowcip francuski w panoramie wieków
Mark Twain. Wybór nowel
M. Gogol. Opowieść o kłótni Iwana Iwanowicza z Iwanem Nikiforowiczem
Tristan Bernard. Wybór humoresek
Dowcip żydowski i jego filozofja
Teffi. Wybór humoresek
O. Henry. Bluff
Th. Bailey Aldrich. Romans z Rivermouth
Weber „Demokritos“. Wybór pism
Humor angielski
N. Nawthorne. Skarb Piotra Goldthwaita
A. Czechow. Wybór humoresek
Cami. Opowiadania
Mund Pochhammer. Niezwykłe przygody barona Münchhausena
Stephen Leaceck. Humor i humbug
Curiosa prasowe.
Hasse Zetterström. Pies dynamitowy
Mynona. Groteski
Victor Auburtin. Basen ze złotemi rybkami
Roda Roda. Wybór pism.

BIBLJOTEKA BELETRYSTYCZNA
TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO

Rozpoczynamy perjodyczne wydawnictwo taniej bibljoteki beletrystycznej. Nowa, ciekawa książka polska najmłodszych autorów i starsze, dawno wyczerpane, a zawsze piękne i niezapomniane powieści, najwybitniejsze utwory dawnej i współczesnej literatury obcej w dobrych przekładach. Nowe pozycje w piśmiennictwie, które czytać się będzie z drżeniem emocji i zainteresowania i dawne wspomnienia czytanych niegdyś z zachwytem książek. Dajemy to wszystko czytelnikom naszej bibljoteki, chcemy stworzyć dobrą, wartościową, zajmującą książkę polską, która połączy bogatą, ciekawą treść, wysoki poziom literacki i artystyczny, z starannym drukiem, dobrym papierem, estetycznym wyglądem i tanią ceną. Pragniemy zapoczątkować nowy typ książki polskiej dla kulturalnego czytelnika, który pogodzić się nie może z tandetą wydawniczą, usiłującą zawładnąć rynkiem.

Z utworów, które mamy już przygotowane, wyliczymy w pierwszym rzędzie niezwykle śmiałą, nawskróś nowoczesną, opartą na fascynujących problemach życia, pierwszą książkę młodej autorki Marji Kuncewiczowej, piękną poetycką opowieść Wołoszynowskiego, głęboko filozoficzną, poruszającą odwieczny konflikt wiary, powieść Ewy Szelburg. Dalej tak charakterystyczne dla minionej epoki utwory Nałkowskiej i Korczaka.

Z literatury obcej przypominamy najpiękniejszą, czarującą powieść genjalnego Dickensa; poruszającą

najżywotniejsze współczesne zagadnienia, niesłychanie zajmującą powieść du Garda; egzotyczne, barwne porywające prymitywnością swą opowiadania Rumuna Istratiego. Pierwsze te pozycje, za któremi pójdą inne, również dobre — pozwalają nam już zgóry sąd ić o wartości i powodzeniu naszych poczynań.

Ukazały się już następujące powieści i nowele Bibljoteki Beletrystycznej:

Marja Kuncewiczowa	PRZYMIERZE Z DZIECKIEM
Ewa Szelburg	DOKĄD?
Zofja Nałkowska	LODOWE POLA
Tadeusz Nalepiński	KAZIA
Janusz Korczak	DZIECKO SALONU

W najbliższym czasie ukażą się:

Juljan Wołoszynowski	O TWARDOWSKIM, SYNU ZIEMIANKI, OBYWATELU PIEKIEŁ, DZIŚ KSIĘŻYCOWYM LOKATORZE
Karol Dickens	DAVID COPPERFIELD
Martin du Gard	RODZINA THIBAULTÓW. — DOM POPRAWY
Panait Istrati	WUJ ANGEL

PRENUMERATA BIBLJOTEKI BELETRYSTYCZNEJ wraz z przesyłką pocztową wynosić będzie:

kwartalnie za 6 książek 10.— zł
Cena pojedynczego tomu 2.— zł

Redakcja i Administracja:
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE, WARSZAWA
Mazowiecka 12. P. K. O. 13-20

BIBLIOTEKA NARODOWA

J. Kamiński
Kraków 26.5.6
20zł

20

DRUKARNIA
NARODOWA
W KRAKOWIE

8

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
363055

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001016573251